MÓJ PRZYJACIEL



60 gr.

Nr. 11-12

ALMANACH

(ROCZNIK)

„MÓJ PRZYJACIEL“ Tom I-szy

ZAWIERA DZIAŁY:

BELETRYSTYKI, — OPISÓW PODRÓŻY I PRZYGÓD, — WYNALAZKÓW TECHNICZNYCH, — HUMORU, ZAGADEK I SZARAD, ORAZ LICZNE ILUSTRACJE.

Spis rzeczy tomu pierwszego:

Cena zł. 2.

MÓJ PRZYJACIEL
ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

Rok IV. Warszawa, grudzień 1927 Nr. 11-12



Święta Bożego Narodzenia na szerokim świecie.

Gdy bohater jednej z cudownych baśni Andersena dostał od dobrej wróżki w nagrodę wielkie, srebrnopióre skrzydła. — wzniósł się ku księżycowi i wraz z nim wyruszył w daleką podróż naokoło ziemi, aby zobaczyć, co się dzieje na szerokim Bożym świecie. I oto, jak świat długi i szeroki, gdziekolwiek ukazywała się na niebie wielka miedziana tarcza księżyca, — stawał się cud: rozjaśniały się nachmurzone oblicza ludzkie, wyprostowywały się zgarbione w ciężkiej codziennej pracy postacie, radosnym, jasnym uśmiechem witali ludzie tej nocy księżyc; a dziatwa wybiegała z chat na ulicę i wesołemi śpiewami i tańcami objawiała swą radość. I ziemia, śnieżnym całunem spowita jaśniała cała i promieniała grą tysiącznych światełek, iskrzących się wśród pól śniegiem pokrytych, na rzekach, lodem okutych, na konarach drzew, odzianych w świąteczne białe szaty...

— Oni się tak cieszą, widząc moje srebrne skrzydła — pomyślał.

—Nie,—odpowiedzial mu księżyc; —oni się tak cieszą dlatego, że dzisiaj jest wielka noc; noc która dała światu Zbawiciela...

Gdybyśmy razem z chłopcem z baśni mogli w noc na 25 grudnia oblecieć świat cały, zobaczylibyśmy dużo rzeczy ciekawych, godnych widzenia. I chociaż z obrazków, niżej zamieszczonych, przekonamy się, że każdy naród ma swoje zwyczaje i obchodzi święto Bożego Narodzenia na swój sposób, jednak wszędzie daje się zauważyć jednakowy nastrój, dążenie do zrzucenia z siebie jarzma powszedniej

troski o chleb. Od Warszawy do San-Francisko, i od Syberji do Ziemi Ognistej, wszędzie gdzie sięga kultura europejska, wita się noc na 25 grudnia jako święto nad świętami, jako piękny symbol braterstwa kulturalnych ludów, które, mimo wszelkie różnice polityczne i narodowościowe, spojone są węzłami wspólnej religji, kultury, pochodzenia...

* * *

Anglicy bardzo lubią święto Bożego Narodzenia i obchodzą je nadzwyczaj uroczyście z zachowaniem wszystkich starodawnych zwyczajów, tak pięknie odtworzonych przez Dickensa w jego nowelach świątecznych. Przygotowania do święta rozpoczynają się w Anglji już w początkach grudnia. Do Londynu przywozi się całe wagony wołów, świń i baranów. We wszystkich sklepach lady uginają się pod ciężarem gęsi, kaczek, rozmaitej dziczyzny...

Ściany najbiedniejszej nawet chaty przyorane są zielenią. Upiększanie mieszkania zielenią — to najmilsze zajęcie panien, zarówno bardzo bogatych, jak i najbiedniejszych. Girlandy, wianki i bukiety pokrywają ściany i sufit tak gęstą warstwą, że każdy pokój wydaje się piękną, zieloną grotą. Pośrodku pokoju z sufitu zwisa gałęź jemioły. Istnieje zwyczaj, że mężczyzna ma prawo pocałować w usta dziewczynę, spotkaną pod tą gałęzią. Nawet najbardziej skromne panie ściśle przestrzegają tego zwyczaju.

W dniu Bożego Narodzenia wszyscy wstają bardzo wcześnie; zwłaszcza młode dziewczęta i dzieci, aby jeszcze przed wschodem słońca krzyknąć: „Dzień dobry, święty Mikołaju! Nareszcie znów spotykamy cię, kochany, siwy staruszku!“ W każdym kominku od samego rana pali się ogień. „Ogień płonący w kominku i dobra, uśmiechnięta żona — to największe skarby każdego człowieka,“ — głosi angielskie przysłowie. I rzeczywiście, niema tak biednego człowieka w Anglji, któryby nie siedział w tym szczęśliwym dla wszystkich dniu w domu, przy huczącym kominku. We wszystkich prawie wsiach i miastach istnieją, „Kluby świąt Bożego Narodzenia“,—rodzaj kas oszczędności, dopomagających odpowiednio spędzić uroczyste święto.

Uczniowie przyjeżdżają na święta do domu, gdyż ferje zimowe trwają 3-4 tygodni.

Samego rana wszyscy udają się do kościoła. Podczas obiadu, który w tym dniu bywa zazwyczaj bardzo obfity, zbiera się cała rodzina. Obiad mija śród poważnej i uroczystej ciszy, aż do chwili, kiedy na stole zjawia się „plum-pudding, tradycyjne świąteczne danie Anglików. Wtedy podnosi się krzyk, hałas i wrzawa. Plum-pudding oblewa się winem i zapala. Ulubioną zabawą przy tem jest —zręcznie wyciągnąć rodzynkę lub inną jagódkę z palącego się płomienia tak, żeby nie oparzyć rąk. Zwycięzca otrzymuje podwójną porcję puddingu.

W niektórych miejscowościach Anglji w wigilję Nowego Roku młodzież i dzieci zbierają materjały palne: chróst, węgiel kamienny, torf — i składają to wszystko na rogu ulicy. Kiedy zegar na wieży bije północ, zapala się ognisko, — „pali się stary rok“ — i podsyca się ogień do południa następnego dnia. Młodzież—chłopcy i dziewczęta—spacerują po ulicy i śpiewają starą piosenkę: „Życzymy wam szczęśliwego roku, kieszeni pełnej pieniędzy, pełnej piwnicy wina, stołu obfitego w jadło; niech to wszystko będzie u was przez okrągły rok, a wy, „ladies i gentelmen“, siedzący przy kominku, zlitujcie się nad biedakami, stojącymi w błocie.“

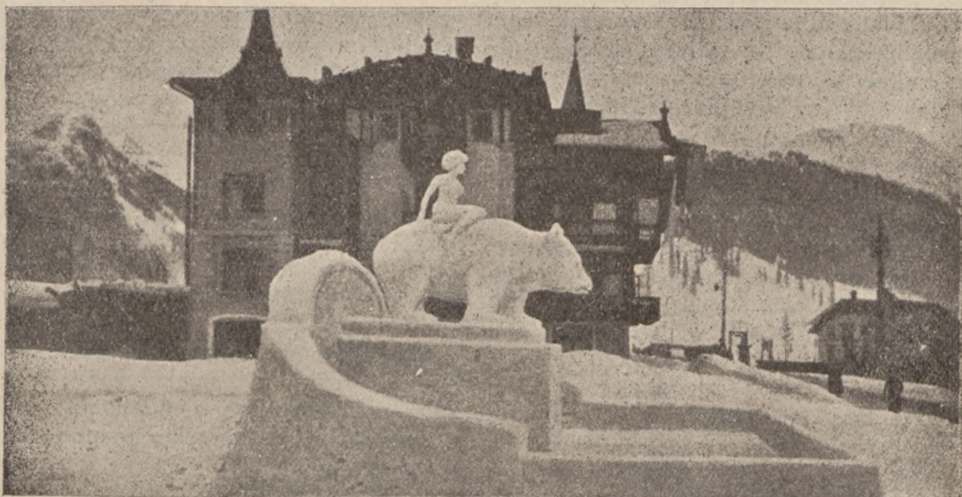
* * *

W Szwecji i Norwegji święto Bożego Narodzenia jest związane z mnóstwem zwyczajów, niekiedy bardzo oryginalnych. Według pojęcia Szweda wszyscy w tym dniu powinni cieszyć się i radować; dlatego każdy zamożny obywatel oddaje część swego dobytku biednym: rozdaje im pieniądze, chleb, świece, opał, aby w każdym kominku palił się ogień, każda chata była oświetlona, aby każdy głodny mógł w tym dniu cośniecoś zjeść.

Przed zachodem słońca na każdym dachu przywiązuje się do żerdzi niewymłócony snop zboża, aby ptaki też miały swoje święto.

Podwórzowego psa, uwiązanego zazwyczaj, spuszcza się z łańcucha, gdyż wszystkie żywe stworzenia powinny w tym dniu weselić się i korzystać z zupełnej wolności.

Mieszkania ozdabia się kawałkami płótna, na których wyrysowane są epizody z historji Narodzin Zbawiciela. Do sufitu przytwierdza się wianek ze słomy. Podłogę przykrywa się słomą pokoju wchodzą dwie osoby w maskach: jedna jest „Świętym Mikołajem,“ druga „Staruszką Zimą“. Mikołaj dzwoni, aby zawiadomić o swojem przybyciu, a „Zima“ wydobywa koszyk z różnemi darami, które rozdaje obecnym. Po rozdaniu podarunków, zaczyna się zabawa; muzyka, tańce, śpiewy. Każdy Szwed umie grać na skrzypcach i lubi tańczyć. Zabawy szwedzkiej młodzieży są również bardzo oryginalne i ucieszne. Wieczór mija przy podnieconym, radosnym nastroju obecnych, i długo jeszcze, niekiedy przez całą noc Boże-



„Niedźwiedź u źródła", wyrzeźbiony z lodu na placu w Sztokholmie

na pamiątkę, że Chrystus leżał w żłobie. Słomę tę później starannie zbierają, a na wiosnę przykrywają nią pola, aby był dobry urodzaj.

W dzień Bożego Narodzenia, podczas obiadu, wszyscy zamieniają się podarunkami. Gdy cała rodzina siedzi przy stole, drzwi otwierają się nagle, i na środek pokoju spada snop słomy, wewnątrz której znajduje się paczka, zawinięta w różnokolorowe papiery. Młodzież rzuca się do paczki, rozpakowuje ją i znajduje wewnątrz zabawki lub okolicznościowy wiersz, przyczem nikt nie wie, kto jest jego autorem.

W niektórych miejscowościach rozdaje się podarunki w bardziej oryginalny sposób: pierwszego dnia świąt do go Narodzenia rozlegają się pieśni, śpiewy i śmiech.

Ulubioną rozrywką Szwedów podczas świąt Bożego Narodzenia jest również robienie ze śniegu i lodu rozmaitych posągów, figur ludzi, zwierząt i t. p. W rozrywce tej biorą niekiedy udział wybitni rzeźbiarze, i wtedy powstają prawdziwie artystyczne dzieła, jak np. figura niedźwiedzia, przedstawiona na naszym rysunku.

* * *

Niemcy, a zwłaszcza wschodni Niemcy, urządzają w wigilję Bożego Narodzenia choinkę, która przypomina rajskie drzewo, obfitujące w najróżnorodniejsze owoce całego świata. Cho-

inkę ozdabia się jabłkami, pozłoconemi orzechami, piernikami, cukierkami i innemi ozdobami ze srebrnego, złotego i różnokolorowego papieru. Dawniej, a i obecnie w starych patrjarchalnych rodzinach, wszystkie ozdoby do choinki przygotowują najmłodsze dzieci pod kierunkiem starszych: chłopcy kleją pudełka, bombonierki o najrozmaitszych kolorach i kształtach, papierowe złote i srebrne pierścienie, z których później robi się długie łańcuchy; dziewczęta robią kwiaty z papieru, szyją piękne torebki do cukierków, plotą z różnokolorowego papieru koszyczki, dywaniki i inne zabawki. Wieczorami cała rodzina zbiera się w mieszkaniu i usilnie pracuje nad upiększeniem przyszłej choinki. Wspólne te zajęcia zbliżają do się członków rodziny, zacieśniając mocniej węzeł rodzinny, a prócz tego rozwijają smak artystyczny. Każdy członek rodziny powinien, oprócz pięknych ozdób dla choinki, przyszykować podarunki własnej roboty dla pozostałych członków rodziny. Robótki te wykonywuje się w tajemnicy, aby ten, dla kogo to się robi, nie mógł przewidzieć tego, co go oczekuje, — ma to być „niespodzianką“ dla niego! A ile kłopotów i trosk ma każdy, chcąc, aby dar jego spodobał się obdarowanemu! Wreszcie zbliża się wigilja Bożego Narodzenia. Od samego rana wre praca przy choince. A gdy choinka jest już przybrana i świece przymocowane, każdy przynosi swój podarunek, starannie zawinięty, i stawia go na stół. Gdy zapada noc, starsi członkowie rodziny zapalają świece, szeroko otwiera się drzwi pokoju, w którym mieści się choinka, i wszyscy wchodzą: najpierw dzieci, krewni i znajomi, a za nimi służba. Wszyscy ustawiają się dookoła choinki w uroczystej ciszy, a gospodarz w skupieniu odczytuje z biblji historję Narodzin Zbawiciela. Następują uroczyste modły, a potem rozdział podarunków, przyczem służba również otrzymuje świąteczne dary. Potem dopiero rozpoczyna się zabawa, tańce, śpiew i częstunek. Na tę uroczystość piecze się specjalny świąteczny chleb, świąteczne ciasta i przygotowuje się specjalne słodkie świąteczne wino.

* * *

Na Ukrainie przechowały się jeszcze dawne zwyczaje świętowania Bożego Narodzenia; najuroczyściej wita się tam Wigilję. W wigilję, do zachodu słońca, wszyscy poszczą; wszędzie myją, czyszczą i bielą ściany. Wieczorem wszyscy zbierają się w chacie. Głowa rodziny okadza całą chatę wonnemi ziołami, a potem czyta modlitwy; wszyscy pobożnie modlą się wraz z nim. Następnie rozpoczyna się uczta: piją ulubione trunki, jedzą specjalnie przygotowane do tej uroczystości dania: „uchę“ z głową szczupaka, gotowaną rybę, „kutję“ z miodem i „uzwar“ (kompot z suszonych owoców).

Nazajutrz chłopcy chodzą pod okna sąsiadów, śpiewając kolędy. Wieczorem, pierwszego dnia Bożego Narodzenia, chłopcy chodzą „z gwiazdą“ i śpiewają pobożne pieśni. Gwiazdę robi się z tektury i zarysowuje się obrazami z dziejów Narodzin Chrystusa; wewnątrz gwiazdy pali się latarnia. Chłopców woła się do chat, gości się ich różnemi smakołykami, a czasem obdarowuje pieniędzmi, o ile „przypodobają“ się tylko gospodarzem.

* * *

Święto Bożego Narodzenia obchodzi się pod każdą szerokością geograficzną. Nawet w miejscowościach, położonych wpobliżu bieguna północnego, (tam przynajmniej nigdy nie zbraknie tradycyjnego śniegu, czego nie możemy powiedzieć o naszych krajach umiarkowanych) w noc na 25 grudnia nieliczne osady ludzkie przybierają wygląd świąteczny. W Grenlandji np., w każdej najbiedniejszej chacie świeci się choinka, przywieziona niekiedy z odległych stron. Na dalekiej północy Ameryki na kilka dni przed świętami w każdem osiedlu otwiera się specjalny targ świąteczny. Kupcami są tam Eskimosi, klientami zaś okoliczni Indjanie i nieliczni biali. Na taki targ jedzie się dziesiątki, niekiedy setki kilometrów, aby zaopatrzyć się w nowe ubrania, prowjant, wino i niezbędną choinkę, która ozdabia tej nocy wigwamy indyjskie.



Do Ameryki!..

OPOWIADANIE ŚWIĄTECZNE.

— Janek przyjechał! — krzyknął ktoś na dworze.

— Paniczyk przyjechali! — zapiszczała Magda, wpadając jak bomba do stołowego pokoju — Chwała Bogu, paniczyk przyjechali!

Cała rodzina Zalewskich, z godziny na godzinę oczekującą przybycia swego Janka, rzuciła się ku oknom. Przed gankiem stały szerokie sanie a od trójki zaprzężonych koni buchał tuman pary. Sanie były puste a Janek stał już w sieni i czerwonemi, zziębniętemi palcami rozwiązywał szalik. Jego uczniowskie palto, czapka, kalosze i włosy na skroniach były pokryte szronem a cały on od stóp do głowy tchnął tak dziwnie nęcącym mroźnym zapachem, że patrząc nań, chciałoby się samemu zmarznąć i krzyknąć „brrr"! Matka i ciotka rzuciły się obejmować i całować chłopca, Magda padła mu do nóg i zaczęła ściągać z niego owijacze, siostry podniosły wrzask, drzwi skrzypiały i trzaskały, a ojciec Janka w jednej tylko kamizelce z nożyczkami w ręku wbiegł do przedsionka i krzyknął:

— A myśmy cię jeszcze wczoraj czekali! Zdrowoś przyjechał? Szczęśliwie? Ach, Boże drogi, pozwólcież mu się nareszcie przywitać z ojcem. Cóż to ja — obcy? — nie ojciec?!

— Hau, hau! — szczekał basem Milord, ogromny, czarny pies, bijąc ogonem po ścianach i meblach.

Wszystkie głosy zmieszały się w jeden ciągły i radosny gwar, który przez blisko dwie minuty gościł w cichym zazwyczaj korytarzu. Gdy minął pierwszy poryw radości, państwo Zalewscy zauważyli, że oprócz Janka znajduje się w sieni jeszcze jakiś maleńki człowieczek, zawinięty w chusty, szale i szaliczki i podkryty szronem; stał milcząco w kącie, ukryty w cieniu wielkiego lisiego futra.

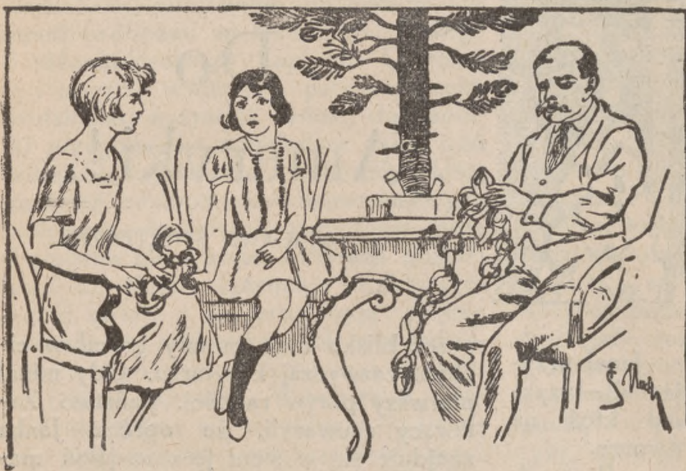
— Jasieczku — a to kto? — spytała matka szeptem.

Ach! — zerwał się chłopiec, — to... mam zaszczyt przedstawić wam — mój kolega — Soczewicki, uczeń drugiej klasy. — Zaprosiłem go do nas w gościnę.

— Bardzo nam miło, prosimy, prosimy — przywitał serdecznie ojciec.— Magda! pomóż rozebrać się panu Soczewickiemu. Ach, Boże drogi, przepędźcie już wreszcie tego psa, istne skaranie Boskie!

Chwilę później, Janek i jego przyjaciel, oszołomieni hałaśliwem przyjęciem i różowi jeszcze od chłodu, siedzieli już przy stole i pili gorącą herbatę. Zimowe słoneczko, przebijając się przez zamarznięte i okryte śniegiem szyby drgało na niklowanej powierzchni cukiernicy i kąpało swe jasne promienie w błyszczących szklankach. W pokoju było ciepło i chłopcy czuli jak w ich zziębniętych ciałach, biorąc się za bary, walczyły z uporem, ciepło i mróz.

— A oto i Boże Narodzenie! — mówił nieco śpiewnie przeciągając ojciec, kręcąc papierosa z ciemno bronzowego tytoniu. — Nie tak dawno jeszcze było lato—a pamiętasz, jak mama płakała od-



Ojciec z dziewczynkami zajęli się przyrządzaniem ozdób do choinki.

wał się być niezadowolony ze swego przyjazdu do domu. Podczas śniadania raz jeden tylko zwrócił się do sióstr: wskazał palcem na szklankę i rzekł:

— A w Kalifornji zamiast herbaty piją dżyn!

On także był zajęty jakiemiś myślami i, sądząc ze spojrzeń, jakie zamieniali ze sobą przyjaciele, można się było domyśleć, że wspólne troski zaprzątają ich umysł. Po śniadaniu wszyscy udali się do dziecinnego pokoju.

wożąc cię do miasta? A otoś znowu w domu — tak, tak, braciszku, czas ucieka, ani się obejrzysz a starość na karku! Panie Soczewicki, proszę jeść, niech się pan nie krępuje, — gość w dom, Bóg w dom!

Trzy siostry Janka, Alinka, Stasia i Hanka — najstarsza z nich jedenastoletnia zaledwie dziewczynka — siedziały przy stole i nie odrywały wzroku od nowego znajomego. Soczewicki był tego samego wzrostu i wieku co Janek, lecz nie tak pulchny i białolicy, lecz chudy, śniady i piegowaty. Był brzydki, o szczecinowatych włosach, wąskich oczach i grubych wargach, i gdyby nie jego uczniowski mundurek, możnaby było go przyjąć za wiejskiego chłopca.

Soczewicki był mrukiem, przez cały czas milczał i ani razu się nie uśmiechnął. Dziewczynki, spoglądając na niego, wyobraziły sobie, że musi to być bardzo mądry i uczony człowiek. On zaś wciąż tylko myślał o czemś, i tak był zagłębiony we własnych myślach, że gdy go o coś pytano, wzdrygał się cały, potrząsał głową i prosił by powtórzono pytanie. Dziewczynki zauważyły także, że Janek, tak zazwyczaj rozmowny i wesół, tym razem rozmawiał niewiele, ledwie się uśmiechnął, i zda-

Ojciec z dziewczynkami zajęli się robotą, przerwaną przybyciem chłopców. Z różnokolorowego papieru wycinali kwiaty i ozdoby choinkowe. Było to przyjemne i hałaśliwe zajęcie. Każdy nowy kwiatek witały dziewczynki gromkim okrzykiem, jakgdyby kwiat spadł z nieba a nie był dziełem ich rąk. Ojciec rzucał wtedy nożyce na podłogę i krzyczał na dziewczynki, że są głupie. Lecz za chwilę uspokajał się i praca toczyła się nadal.

W latach poprzednich Janek także pomagał w tej pracy rodzeństwu, lub biegał często na dwór przypatrzeć się jak woźnica z parobkiem zgarniają śnieg. Teraz jednak on i kolega jego nie zwracali najmniejszej uwagi na różnokolorowe papierki, ani razu nawet nie zajrzeli do stajni, lecz usiedli przy oknie szepcąc o czemś tajemniczo; później rozłożyli przed sobą atlas pięciu części świata i uważnie zaczęli studjować którąś z map.

— Z początku do Warszawy... — cicho mówił Soczewicki, — stąd do Gdańska... później... później... — potem do Kopenhagi... tam wślizgniemy się na okręt transatlantycki, ukryjemy się pod pokładem... i już w Ameryce... Oho, tam to będzie raj!..

— A Kalifornja? — spytał Janek.

— Kalifornja niżej... Znajdźmy się tylko w Ameryce, a Kalifornja nie za siedmioma górami... Żywność można zdobywać polowaniem lub korsarstwem.

Soczewicki cały dzień stronił od dziewczynek i spoglądał na nie zpodełba. Po podwieczorku tak się jednak złożyło, że przez pięć minut musiał pozostać w ich towarzystwie. Niezręcznie i niegrzecznie byłoby milczeć. Poważnie chrząknął, prawą dłonią potarł lewą rękę spojrzał pochmurnie na Stasię i spytał:

— Pani czytała Main Reade'a?

— Nie, nie czytałam... a czy ty umiesz ślizgać się na łyżwach?

Pogrążony w swych myślach, Soczewicki nie odpowiedział na pytanie, nadął tylko policzki i tak głęboko odetchnął jakgdyby mu było bardzo gorąco. Jeszcze raz podniósł oczy na Stasię i powiedział:



Pierwszy dzień świąt niedoszli podróżni spędzili razem z dziewczynkami...

— Kiedy stado bizonów bieży przez pampasy, ziemia drży, a przerażone mustangi rżąc i brykając rozpraszają się na wsze strony.

Tutaj Soczewicki uśmiechnął się smutnie i dodał:

— A dzicy Indjanie napadają na pociągi, rabują i mordują podróżnych, lecz stokroć gorsze są moskity i termity.

— A kto to taki?

— To są owady w rodzaju mrówek, tylko skrzydlate. Ich ukłucia są niebezpieczne. A czy wy wiecie kim jestem?!

— Pan Soczewicki...

— Nie! — Jam Montigomo, Jastrzębi Pazur, wódz niezwyciężonych!..

Hanka, najmłodsza z nich spojrzała na niego, później na okno i rzekła zamyślona:

— U nas wczoraj kucharka gotowała soczewicę!

Zupełnie niezrozumiałe słowa Soczewickiego, jego tajemnicze rozmowy z Jankiem — wszystko to było zagadkowe i dziwne. Alinka i Stasia postanowiły ostrożnie śledzić chłopców.

Wieczorem, gdy ci ułożyli się do snu, dziewczynki podkradły się cicho pod drzwi, aby podsłuchać ich rozmowę. O! czego się one dowiedziały!

Chłopcy zamierzali uciec gdzieś — do Ameryki, w poszukiwaniu złota; wszystko już było przygotowane na drogę: pistolet, dwa noże, suchary, szkło powiększające do rozniecania ognia, kompas i 7 złotych w gotówce.

Dziewczynki dowiedziały się także, że chłopcy będą musieli pieszo przebyć kilkanaście tysięcy kilometrów, walczyć po drodze z krwiożerczemi tygrysami i dzikusami, następnie zdobywać złoto i kość słoniową, zabijać wrogów, zaciągać się w służbę u piratów, pić dżyn, a po tych przygodach ożenić się z księżniczkami i założyć plantacje. Janek i Soczewicki rozmawiali z zapałem jeden przez drugiego. Siebie Soczewicki nazywał przytem „Montigomo, Jastrzębi Pazur", a Janka — „Bladolicy mój brat".

— Pamiętaj tylko, nie mów nic mamie! — powiedziała Alinka siostrzyczce, gdy udawały się do dziecinnego pokoju. — Staś przywiezie nam z Ameryki wiele złota i słoniowej kości, a jeżeli piśniesz słóweczko — to go mama nie puści, i nic z tego nie będzie.

Dzień przed wigilją Soczewicki spędził na uważnem studjowaniu mapy Ameryki, czynieniu notatek, a Janek tymczasem smutny i znękany chodził ponuro po pokojach i nic nie jadł. Wszedłszy do dziecinnego, stanął przed obrazem, przeżegnał się i rzekł:

— Boże! przebacz mnie grzesznemu i uchowaj od złego moją biedną mamusię!

Pod wieczór rozpłakał się. Idąc spać długo obejmował ojca, matkę i siostry. Alinka i Stasia rozumiały dobrze co to znaczy. Hanka nie rozumiała ani w ząb a tylko patrząc na Soczewickiego zamyślała się i mówiła wzdychając:

— Niania mówi, że jak post to trzeba jeść groch i soczewicę.

Nazajutrz rano starsze dziewczynki wstały cichutko i poszły podpatrywać, jak chłopcy będą uciekali do Ameryki. Podkradły się pod drzwi.

— Jakto, nie pojedziesz? — gniewnie pytał Soczewicki — mów! nie pojedziesz?

— Boże! — popłakiwał zcicha Janek. — Jak tu jechać, kiedy mnie mamy tak strasznie, strasznie żal...

— Bladolicy bracie mój, błagam cię! Sameś przekonywał, namawiał mnie, a teraz... gdy godzina wybiła, — tchórzysz!

— Ja nie stchórzyłem, tylko mi... mamy... żal...

— Odpowiedz! — mówię ci: jedziesz, czy nie?

— Pojadę, tylko... tylko poczekaj jeszcze. Chciałbym tak bardzo pobyć nieco w domu.

— W takim razie sam pojadę! — rozstrzygnął Soczewicki. — I bez ciebie dam sobie radę... A jeszcze walczyć chciał z tygrysami i zwyciężać wroga! Jakeś taki — to oddaj mi moje kapiszony!

Janek zapłakał tak gorzko, że siostry nie wytrzymały i również zapłakały.

Nastąpiła cisza.

— Więc nie pojedziesz? — jeszcze raz spytał Soczewicki.

— Po... pojadę...

— Więc ubieraj się!

I Soczewicki, aby przekonać Janka, wychwalał Amerykę, podnosił pod niebiosa obyczaje jej ludów, ryczał przytem jak tygrys, udawał parowóz, świstał i machał rękoma naśladując ruchy maszynisty, obiecywał oddać mu wszystkie zdobycze wyprawy: kość słoniową, złoto i skóry tygrysie. I ten mały, szczupły chłopak wyrastał w oczach patrzących nań dziewczynek, na olbrzyma, kolosa, który siłą swych mięśni i potęgą rozumu zdobyć może świat cały. Stawał się bohaterem, człowiekiem nieustraszonym.

Gdy dziewczynki wróciły do sypialni i ubierały się, Alinka, z oczami pełnemi łez, powiedziała:

— Ach, jak mi straszno!

Do obiadu w cichym dworze toczyło się życie spokojnie jak zwykle. Lecz już wkrótce zauważono brak chłopców. Posłano do czeladnej, do stajni, wo-

zowni, szukano we wsi — nigdzie nie znaleziono. Podwieczorek minął bez chłopców, a przy kolacji nastał tak wielki w domu niepokój, że pani Zalewska, tracąc wprost głowę ze zmartwienia wciąż płakała i wychodziła do sieni wyglądając na dwór. Gdy noc zapadła, służba z latarniami w rękach rozpoczęła dalsze poszukiwania we wsi, chodziła aż nad rzekę, skutą lodem. Boże, ile było zmartwienia! Nazajutrz przyjechał przodownik, coś długo pisał w jadalni, a mama wciąż płakała. Lecz oto przed gankiem zatrzymały się szerokie sanie, a od koni walił gęsty tuman pary.

— Janek przyjechał! — krzyknął ktoś na dworze.

— Paniczyk przyjechali! — zapiszczała Magda wpadając do jadalni. I Milord zaszczekał basem: „hau, hau".

Okazało się, że chłopców zatrzymano w pobliskiej miejścinie, gdy wędrując od sklepu do sklepu, pytali się, gdzie sprzedają proch. Janek, gdy tylko znalazł się w korytarzu, zaszlochał głośno i rzucił się matce na szyję. Dziewczynki drżały ze strachu na myśl co teraz będzie, słyszały bowiem, że ojciec zaprowadził Janka i Soczewickiego do gabinetu, i coś im tam długo perswadował; mama także przekonywała i płakała.

— Czy tak można? — perorował ojciec. — Nie daj Boże, dowiedzą się o tem w szkole, i staniecie się pośmiewiskiem dla kolegów. Jak panu nie wstyd, panie Soczewicki? — Nie, to nieładnie! Mam nadzieję, że i bez kary ze strony pańskich rodziców zrozumiał już pan swój błąd i w przyszłości już go nie powtórzy. — Ale gdzieście nocowali?

— Na dworcu, — odpowiedział chmurnie Soczewicki.

* *
*

Młodzieńcze radości i smutki mijają jednak prędko. Wigilja odbyła się w podniosłym nastroju. Cudnie przystrojona i tysiącznemi światłami rozbłysła choinka wzbudziła ogólny zachwyt, zastępując dziewczynkom stracone niepowrotnie... złoto. Pierwszy dzień świąt nasi niedoszli podróżni spędzili razem z dziewczynkami na saneczkowaniu, jeździe na nartach, bawiąc się znakomicie. Nazajutrz urządzono bal maskowy. Mali zaproszeni goście, poprzebierani w dziwaczne stroje egzotycznych murzynów, Indjan lub Eskimosów składali się na minjaturowy obraz dalekiej, niedoścignionej Ameryki. Janek dobrze zrozumiał, że z siedmioma złotymi można zaledwie powędrować na... dworzec, lecz Soczewicki, wierny jeszcze tradycjom niedalekiej przeszłości, odjeżdżając do domu, zostawił dziewczynkom w albumie napis:

„Montigomo, Jastrzębi Pazur".

A. Cz.

Święć się, święć się,
Wieku młody,
Los za bary chwyć!
Zanim życia
Miną gody
Uczmy się jak żyć!

* *
*

Idź więc, idź więc
Naprzód śmiało,
Wytęż orli wzrok,
Zdrowy duch
I zdrowe ciało
Zwalczą zło i mrok!

* *
*

Wznieś się, wznieś się
Myślą wolną
Hen, w podniebny szlak,
Nad szarością
Dnia mozolną
Jak ten boży ptak!

* *
*

Dąż więc, dąż więc
W bój życiowy
A z twej duszy skra,
Niech roznieci
Zapał nowy,
Który wiecznie trwa!

J. GURANOWSKI.

Tam gdzie nie brak śniegu.

Podczas gdy u nas sportsmeni z utęsknieniem spoglądają na barometr, w słusznej obawie, że lada dzien może nastąpić odwilż i zniweczyć wszystkie piękne pla ny sportowe, — szczęśliwi obywatele szwedzcy używają w całej pełni zimowych rozkoszy. W ostatnich latach rozwija się tam zwłaszcz i zimowy sport żaglowy, który zaczyna powoli p:zenikać i do Polski. Czy zobaczymy kiedyś na naszej Wiśle obrazki, podobne do przedstawionych na tych rycinach? Na rysunku u dołu widzimy start uczestników dorocznych zawo dów żaglowo-łyżwiarskich w Os;lo na rysunku z prawej strony — „spokojną podróż“ na żaglowych sankach po pięknem górskiem jeziorze, w jakie obfitują kraje północnę.





Gryzelda Kochran

Opowiadanie na tle dziejów angielskich XVII wieku.

— Ojcze, muszę cię opuścić na parę dni.

— Dobrze, córko! Ale dokąd wybierasz się?

— Jest to moja tajemnica. Powiem ci o tem później. Rozumiesz przecież, ojcze, nie chce mi się zostawić ciebie — samotnego w okropnej celi, ale życie twe wisi na włosku. Muszę ci dopomóc. Nie martw się! Wkrótce wrócę i, mam nadzieję, z dobremi nowinami,

— Za późno!—westchnął skazany.— Wyrok już zapadł. Gdybyśmy mogli uzyskać kilka dni zwłoki, udałoby się może wpłynąć na króla Jakóba i zmienić wyrok. Ale.. spóźniliśmy! Dziś-jutro wyrok zostanie wykonany.

— Nie martw się, ojcze. Musimy parę dni zwłoki uzyskać! A teraz żegnaj!

— Żegnaj, córko! Czuję, że masz jakiś plan.

— Mam i muszę go przeprowadzić. Zobaczysz, ojczulku kochany, że wszystko skończy się dobrze!

Gryzelda pocałowała ojca i wyszła z więziennej celi, w której John Kochran był osadzony za spółudział w spisku na życie króla Jakóba. Aresztowany wraz z innymi spiskowcami, sir John Kochran, został skazany na karę śmierci; wyrok królewski był już wysłany przez pocztyljona z Londynu do Edynburga. Władze więzienne pozwoliły skazańcom na ostatnie widzenie z rodzinami i przyjaciółmi.

Córka sira Johna Kochran, Gryzelda, przyszła do więzienia do ojca i spędziwszy z nim kilka godzin, opuściła go, powziąwszy zamiar zrealizować nowy plan, jaki zrodził się w młodej jej główce. Dnie i noce nosiła się dziewczyna z myślą ocalenia ojca od niechybnej śmierci, i nagle, w więzieniu, wydało jej się, że znalazła właściwy sposób. Wyszedłszy z więzienia, Gryzelda natychmiast przystąpiła do dzieła; kupiła dobrego, silnego konia, przebrała się w męski ubiór i, zabrawszy ze sobą dwa nabite pistolety, wyjechała tegoż dnia z Edynburga na wielką drogę, prowadzącą do Londynu.

Przechodnie, których spotykała na drodze, przyjmowali ją za chłopca; nikt nie zatrzymał jej ani razu, i dziewczyna po kilku godzinach, nie napotykając w drodze żadnych przeszkód, dojechała do małej wiejskiej oberży. Oberża ta nie znajdowała się na wielkiej drodze, dlatego też podróżni rzadko wstępowali w ubogie jej progi.

Mała bohaterka zeszła z konia i zapukała do drzwi. Drzwi otworzyły się i na progu zjawiła się zgarbiona staruszka z latarnią w ręku.

— Kto tam? — zapytała. — Czego sobie życzysz, młody paniczu?.. Co widzę! miss Gryzelda?..

— Tak, nianiu, to ja. Wpuść mnie. Czy wszystko w porządku?

— Wszystko dobrze! Ale co cię sprowadziło tutaj? Sir John... może umarł? Mój Boże, jakie nieszczęście! Dlaczego milczysz?

— Przedewszystkiem zaopiekuj się moim koniem, a później przy kolacji opowiem ci wszystko. Padam wprost ze zmęczenia!

Gryzelda weszła do mieszkania, a staruszka ujęła konia za uzdę i odprowadziła do stajni; następnie wróciła i nakryła do stołu. Podczas kolacji Gryzelda szczerze opowiedziała niani o nieszczęściu sira Johna. Stara zapewniła ją, że pocztyljon z Londynu nie przybył jeszcze, ma jednak jutro, najpóźniej pojutrze, przyjechać.

— Jutro goniec królewski będzie w Belfordzie, — dodała staruszka.

— Pewnie o szóstej rano. W Belford pocztyljon odpoczywa zwykle do południa, a następnie udaje się w dalszą podróż.

— A w jakiej oberży on się zatrzymuje?

— Chcesz się z nim spotkać? Zwykle przyjeżdża on do starego zajazdu we wsi. Ale poco chcesz się z nim widzieć?

— To moja rzecz, — odpowiedziała Gryzelda.

— Przypuśćmy. Ale pomyśl, co ty —dziewczyna — możesz sama zdziałać?

— Muszę ocalić ojca, — brzmiała odpowiedź. Widzisz, jestem przebrana. Jutro, jeśli mi się uda, dowiesz się reszty. Dobranoc! Obudź mnie jak najwcześniej i schowaj dobrze moją walizę...

Nazajutrz, o świcie, staruszka obudziła Gryzeldę. Dziewczyna natychmiast osiodłała konia i szybko ruszyła do Belford; punktualnie o godzinie szóstej dziewczyna przyjechała do miasta.

Znalezienie zajazdu, w którym zatrzymał się goniec z Londynu, było sprawą łatwą. Gryzelda zeszła z konia, przywiązała go do parkanu, a sama śmiało weszła do oberży. W kuchni zauważyła ona jakąś kobietę.

— Cicho! — szepnęła tamta — on śpi!..

I wskazała na kąt pokoju, gdzie rozwaliwszy się na łóżku, mocno chrapał jakiś mężczyzna, widocznie bardzo zmęczony. Gryzelda usiadła obok gospodyni i zapytała ją, niby od niechcenia.

— Kim jest ten śpioch?

Wprawdzie dziewczyna domyślała się, kim jest nieznajomy, ale chciała się upewnić.

— Goniec z Londynu, — szepnęła gospodyni. — Oto jego płaszcz i pistolety.

Gryzelda widziała jedno i drugie, ale nie ujrzała tego, co ją najbardziej interesowało — torby gońca. Co robić? gdzie szukać torby? Przecież nie można zrewidować całego domu! A jednak torba była jej na gwałt potrzebna: plan Gryzeldy polegał właśnie na wykradzeniu wyroku, wydanego na ojca. Gdyby jej się to udało, egzekucję musianoby odroczyć; a dopóki nadejdzie nowy wyrok, przyjaciele ojca potrafią wpłynąć na króla i cofnąć wyrok śmierci.

Plan był bardzo śmiały, ale jak go wykonać? Gospodyni nie opuszczała pokoju i ciągle spoglądała na Gryzeldę z rosnącą nieufnością.

Wreszcie gospodyni nakryła do stołu i podała butelkę wina. Gryzelda nie chciała pić wina, ale widząc nadąsaną minę oberżystki, poprosiła ją o szklankę czystej wody ze studni, przyrzekając hojną zapłatę. Gospodyni rozpogodziła się i uśmiechając się wesoło do ładnego „chłopca“, wzięła dzban i wyszła po wodę. Gryzelda natychmiast zbliżyła się do gońca i stwierdziła, że torba z papierami znajduje się pod poduszką...

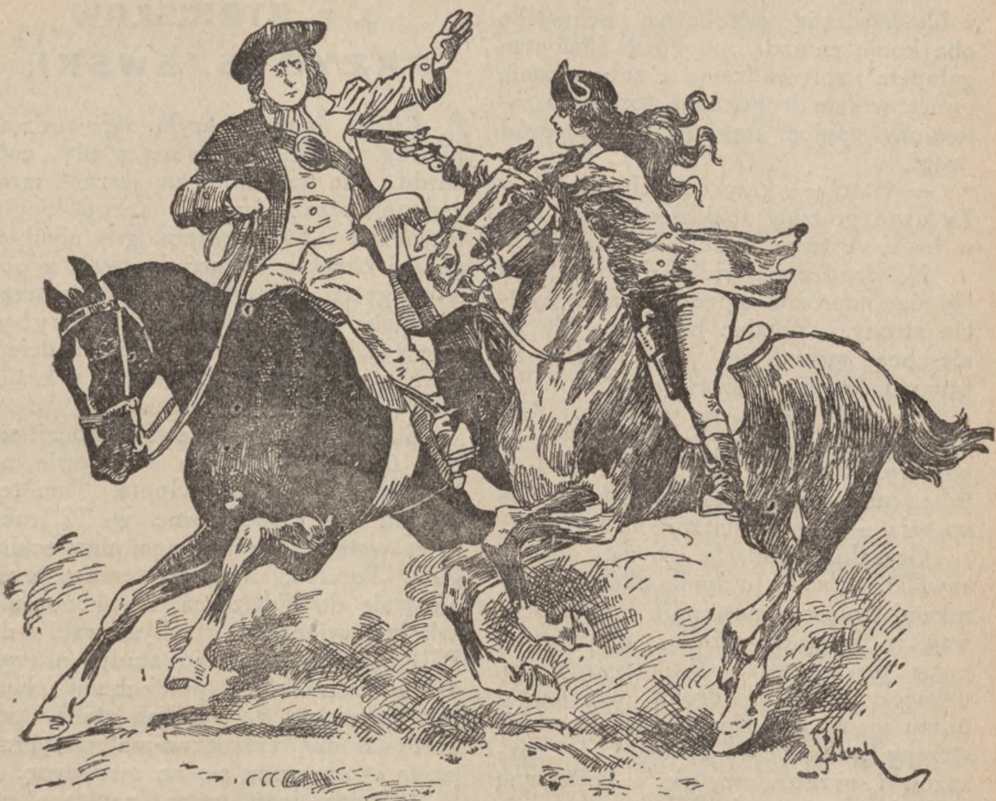
Co zrobić? Jak wyjąć torbę, aby śpiący nie obudził się? Dziewczyna wahała się. Wtem wzrok jej padł na pistolety, leżące na stole; odruchowo, nie zdając sobie sprawy, po co to robi, Gryzelda wyjęła naboje z broni. Gdy gospodyni z dzbanem wody w ręku wróciła do pokoju, Gryzelda siedziała na swojem miejscu. Rozumiała ona, że pozostawać nadal w oberży nie można; że może to wzbudzić pewne podejrzenia, i dlatego, hojnie zapłaciwszy gospodyni za wodę, kazała przyprowadzić konia i odjechała. Przebywszy kilka mil, dziewczyna zawróciła zpowrotem do Belford: widocznie powzięła już określony plan.

Na drodze zjawił się goniec. Gryzelda przyłączyła się doń i nawiązała rozmowę. Goniec bardzo chętnie gawędził z młodym współtowarzyszem podróży. Gryzelda, ciągle myśląc o listach i papierach, które ją interesowały, usiłowała naprowadzić rozmowę na interesujący ją temat.

— Pan ma na pewno ważne dokumenty przy sobie — rzekła, wskazując na czarną torbę, przywiązaną do siodła.

— Nawet bardzo!—uśmiechnął się goniec. — Są tu wyroki śmierci na zdrajców i rozkazy królewskie.

— Chciałbym zobaczyć te rozkazy! — poprosiła Gryzelda.



Gryzelda skierowała lufę pistoletu na gońca.

— Nie bądź taki ciekawy! — roześmiał się goniec. — Ty chcesz tylko spojrzeć na te papiery, a pomyśl, ile łez ludzkich będą kosztowały te rozkazy!

— Ale ja muszę je zobaczyć! — krzyknęła Gryzelda. — Pokaż mi, przecież ci nie ukradnę!

— Jeszcze co! Co za głupi pomysł strzelił ci do głowy! Nie bądź znów taki ciekawy, bo co zanadto, to niezdrowo. Rozumiesz?

— Mówię poważnie! — odrzekła Gryzelda. — Muszę mieć te papiery na krótki okres czasu. Uważaj! Daj mi twą torbę, a za godzinę wróć, a znajdziesz ją tam na drzewie w lesie.

Goniec wesoło roześmiał się.

— A to ci wesoły pasażer! — — rzekł. — Głupcze, jesteś jeszcze za młody na szubienicę, cóż cię tam obchodzi los zdrajców?

— Dosyć żartów! — krzyknęła nagle. — Oddaj torbę dobrowolnie bo będzie źle!

Gryzelda schwyciła konia za uzdę i zatrzymała go.

— Jak dosyć żartów, do dobrze! Bardzo mi przykro zabijać takie ładne dziecko, ale zrobię to natychmiast, jeśli nie puścisz mego konia. — To mówiąc, goniec chwycił pistolety.

— Nie puszczę cię, póki nie dasz mi torby! — odpowiedziała spokojnie Gryzelda, starając się opanować strach, jaki ją ogarnął. — Nie boję się ciebie, pistolety nie są nabite!...

Goniec nacisnął cyngiel pistoletu. Nie wystrzelił. To samo powtórzyło się z drugim pistoletem.

Gryzelda skierowała lufę pistoletu w głowę gońca i lewą ręką chwyciła za torbę.

Goniec zeskoczył na ziemię, chcąc ztyłu napaść na dziewczynę; ale ta

z błyskawiczną szybkością schwyciła oba konie za uzdę i popędziła szalonym galopem uprowadzając z sobą konia gońca wraz z drogocenną torbą. Oszołomiony goniec stał bezradnie śród drogi.

— Stać! — krzyknęła Gryzelda. — Za dwie godziny znajdziesz swą torbę w lesie. A teraz, precz, bo strzelę!

Na drodze nie widać było nikogo i goniec napróżno oglądał się na wszystkie strony, szukając pomocy. Chcąc nie-chcąc musiał się podporządkować żądaniu odważnej dziewczyny.

Gryzelda skryła się w lesie. Tam otworzyła torbę i nerwowo przebierała papiery. Wreszcie znalazła! Oto leży przed nią papier, którego tak usilnie szukała — wyrok śmierci na jej ojca.

Gryzelda podarła go na drobne kawałki, to samo uczyniła z innemi wyrokami śmierci, następnie przymocowawszy torbę do siodła, przywiązała konia do drzewa. Skończywszy to, dziewczyna okólną drogą wróciła do domu niani. Tam spaliła w kominku strzępy podartych królewskich rozkazów i, przebrawszy się w codzienną sukienkę, wróciła do Edynburga, gdzie tak niecierpliwie oczekiwał jej ojciec.

Plan Gryzeldy udał się jak najlepiej. Zwłoka rzeczywiście ocaliła sira Johna, gdyż przyjaciele jego zdołali skłonić króla na korzyść skazanego: król ułaskawił go i nieszczęśliwy skazaniec został zwolniony. Ale przez długi czas nikt nie przypuszczał, że tajemniczy nieznajomy, który śród białego dnia napadł na królewskiego gońca i zabrał mu wszystkie wyroki śmierci, — był tylko skromną osiemnastoletnią dziewczyną.

Tłum. z ang.
A. Jaworski.



Ś. P. STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Kirem żałoby okryła się rodzina pisarzy polskich, a wraz z nią cały naród. Nie zabliźniły się jeszcze rany, zadane przez śmierć Żeromskiego, Reymonta i Kasprowicza, gdy nieubłagana i okrutna śmierć porwała z pośród grona najwybitniejszych pisarzy polskich ś. p. Stanisława Przybyszewskiego, którego imię i dzieła miały rozgłos i sławę nietylko w kraju, lecz i na szerokim świecie.

Stanisław Przybyszewski urodził się dnia 6 maja 1868 roku w Łojowie, na Kujawach, wpobliżu Gopła. Tam też spędził swe dzieciństwo; w 12 roku życia wstąpił do gimnazjum niemieckiego w Toruniu, skąd następnie przeniósł się do Wągrowca. Po skończeniu szkoły wyjechał Przybyszewski do Berlina, aby rozpocząć studja na wydziale architektury politechniki charlottenburskiej. Po kilku latach porzuca żmudną techniczno-matematyczną pracę i przerzuca się na medycynę.

Pierwsza jego praca, napisana po niemiecku, rozprawa p. t. „Chopin und Nietsche"—wprowadza utalentowanego i młodego autora do berlińsko-skandynawskiego koła pisarzy, pod wpływem którego pozostaje przez wielewiele lat. Długie lata nikt w Polsce nie zna nazwiska Przybyszewskiego, który tworzy i pisze tylko po niemiecku. Wreszcie porzuca on obczyznę i przenosi się do Krakowa, gdzie staje na czele redakcji „Życia". Książki jego „Wigilja", „Dzieci szatana", „De profundis", „Homo sapiens", „Na drogach duszy", „Androgyne", „Synowie szatana", „Złote runo", „Śnieg", „Odwieczna baśń", „Nad morzem" w ostatnich latach wysunęły Przybyszewskiego na jedno z czołowych miejsc w literaturze europejskiej.

Umarł nagle na atak serca w domu swych przyjaciół. Ostatnią jego pracą byli „Moi współcześni", której niestety nie skończył.

KTO BYŁ BOHATEREM NIEZWYKŁEJ POWIEŚCI POEGO?

ZAGADKA SFINKSA.

DZIWNE ZŁUDZENIE OPTYCZNE, KTÓREGO OFIARĄ PADŁ AUTOR POWIEŚCI, ZASADZA SIĘ NA ZNANEM PRAWIE FIZYCZNEM, OBJAŚNIONEM PONIŻEJ.

NA CZEM POLEGA POWIĘKSZAJĄCA DZIAŁALNOŚĆ MIKROSKOPU.

Dlaczego mikroskop powiększa? Najczęściej spotykaną odpowiedzią na to pytanie jest: ponieważ mikroskop zmienia kierunek promieni świetlnych w sposób ściśle określony prawami fizycznemi. Ale taka odpowiedź jest równoznaczna twierdzeniu, że pożar gaśnie z powodu przyjazdu straży ogniowej. Zarówno pierwsza jak i druga odpowiedź wskazuje na dalszą przyczynę zjawiska, nie porusza jednak jądra sprawy. Jaka więc jest bezpośrednia przyczyna powiększającego działania mikroskopu i teleskopu?

Przypadkowo — a nie z podręcznika — zdołałem przyczynę tę zbadać w dosyć ciekawych okolicznościach. Dawno temu, jeszcze za czasów uczniowskich, siedziałem przy zamkniętem oknie i apatycznie przyglądałem się ceglanej ścianie, znajdującej się na przeciwległej stronie ulicy. Nagle zdrętwiałem z przerażenia: z ceglanej ściany — wyraźnie to widziałem! — patrzało na mnie olbrzymie ludzkie oko, mające kilka metrów średnicy... Wówczas nie znałem jeszcze „sfinksa“ Edgara Poego i nie wiedziałem, że olbrzymie oko jest odbiciem mego własnego oka. Odbicie to oko moje rzuciło na oddaloną ścianę, ja zaś *wyobraziłem* je sobie odpowiednio powiększonem. Domyśliwszy się później tego, zastanowiłem się, czy jest możliwe zbudowanie mikroskopu, opartego na takim złudzeniu optycznem. Wtedy dopiero zrozumiałem, na czem polega istota powiększającego działania mikroskopu: nie na tem, — jakiem dawniej myślał — że, dzięki niemu, przedmiot oglądany wydaje się *większy*, lecz na tem, że widzimy przedmiot *pod większym kątem widzenia*, a wobec tego odbicie jego zajmuje *na siatkówce naszego oka więcej miejsca*.

Aby zrozumieć, dlaczego kąt widzenia ma tu tak istotne znaczenie, powinniśmy zwrócić uwagę na jedną nader ważną właściwość naszego oka: każdy przedmiot albo każda jego część, którą widzimy pod kątem, mniejszym od minuty kątowej, zlewa się dla naszego wzroku w *punkt*, w którym nie możemy odróżnić ani formy, ani oddzielnych szczegółów. Kiedy przedmiot jest oddalony od nas albo tak mały, że widzimy go (albo poszczególne jego części) pod kątem widzenia mniejszym od 1', przestajemy wtedy rozróżniać szczegóły jego kształtu. Dzieje się to dlatego, że przy takim kącie widzenia odbicie przedmiotu w naszem oku nie oddziaływa odrazu na większość zakończeń nerwowych naszej siatkówki, ale pada w całości na jeden wrażliwy element nerwu: wtedy szczegóły formy i budowy zatracają się — widzimy tylko *punkt*.

Rola mikroskopu i teleskopu polega na tem, że, zmieniając kierunek promieni, odbitych od oglądanego przedmiotu, pokazują go nam pod większym kątem widzenia. Odbicie na siatkówce rozciąga się, obejmuje nie jedno, lecz wiele zakończeń nerwu wzrokowego — możemy tedy rozróżnić w przemiocie takie szczegóły, które

przy patrzeniu gołem okiem pozostawały dla nas nieuchwytne. Mikroskop lub teleskop „powiększa stokrotnie“ — znaczy to, że pokazuje on nam przedmioty pod kątem widzenia 100 razy większym, aniżeli widzimy je gołem okiem. Taki zaś instrument optyczny, który nie powiększa kąta widzenia, *nie daje nam żadnego powiększenia*, chociaż się nam wydaje, — że przedmiot widzimy powiększony. Oko na ceglanej ścianie wydawało mi się olbrzymie, — ale nie dostrzegłem w niem ani jednego nowego szczegółu, w porównaniu z tem, co widzę w oku, spoglądając w lustro. Księżyc nisko na horyzoncie wydaje nam się *większy*, aniżeli wysoko na niebie, — ale czy w powiększonej jego tarczy spostrzegamy coś nowego, jakąś dodatkową plamkę, której nie rozróżniamy wtedy, gdy księżyc stoi wysoko?

Jeżeli wrócimy teraz do wypadku, opisanego przez Edgara Poe w „Sfinksie“, to przekonamy się, że bohater opowiadania nie zauważył żadnych nowych szczegółów w „powiększonym“ objekcie. Przecież kąt widzenia został niezmieniony: motyl jest widoczny pod tym samym kątem widzenia, niezależnie od tego czy motyl jest gdzieś daleko, w lesie, czy też blisko za oknem. A z chwilą, gdy kąt widzenia nie zmienia się, powiększenie przedmiotu, jakiekolwiekby ono było, nie odsłania obserwatorowi żadnego nowego szczegółu. Edgar Poe, jako prawdziwy artysta, nie uchybił naturze nawet w tem odpowiedzialnem miejscu swego opowiadania. Czy zauważyliście jak opisuje on „potwora“ w lesie: opis olbrzymich członków owada nie zawiera ani jednej nowej cechy w porównaniu z tem, co widzimy gołem okiem, obserwując „trupią główkę“. Bohater tylko przesadza w określeniach: zamiast „dziesięciostopowe - metalowe płytki“ powinno być „łuska“, zamiast „olbrzymie rogi“ — „rożki“, zamiast „kły odyńca“ — „nasada szczęki“ i t. d.

Po tej niezbędnej przedmowie czytelnik już łatwo się domyśli, na czem polegał pomysł amerykańskiego pisarza; dokończenie noweli, napisane przez niego przytaczamy poniżej.

DOKOŃCZENIE NOWELI NAPISANE PRZEZ POEGO.

...W tem miejscu przerwał, wstał, doszedł do szafy z książkami i wziął podręcznik historji naturalnej. Następnie zaproponował mi zmianę miejsc, gdyż przy oknie łatwiej było odczytać drobny druk książki, usiadł na krześle i otworzywszy podręcznik, ciągnął:

— Gdyby mi pan nie opisał szczegółowo tego potwora, jabym, możliwie, nigdy nie był w stanie zrozumieć tego, co tu zaszło.

— Pozwoli pan, że przeczytam mu z tego podręcznika opis *Sphinksa* z rodziny motyli czyli owadów łuskoskrzydłych (Lepidoptera), rodzaj: zmierzchnice (Crepuscularia).

Brzmi on:

„Dwie pary skrzydeł błoniastych, pokrytych pyłkiem łuskowatym i ozdobionych najświetniejszemi i najrozmaitszemi barwami, naśladującemi złoto, srebro, lazur, szmaragd i purpurę, w najrozmaitszy sposób ułożonemi i pomieszanemi. Pyszczek jest zakończony trąbką spiralnie zwiniętą. Składa się on z wargi często prawie niewidzialnej i dwóch żuwaczek rogowych, bardzo małych, szczątkowych, łuską pokrytych. Dwie szczęki rogowe w kształcie długich walcowatych nitek spojone są u spodu aż do nasady głaszczków z wargą dolną tak samo utwierdzoną. Dolne skrzydła są połączone z górnemi przy pomocy mocnych włosków; rożki — maczugowate lub wrzecionowate; odwłok zaostrzony. Sphinks czyli Trupia Główka z powodu wizerunku martwej głowy i wydawanego przez tego owada żałosnego jęku bywa często przedmiotem zabobonnego strachu śród nieoświeconego ludu“.

Obserwator.

Robotnik zatrzymał się przed jakiemś ogłoszeniem. Chłopiec z pod oka spojrzał nań i cicho rzekł.

— Ten drab śledzi za mną.

— Pewnie z rozporządzenia Olsmajna. To, czego się bałem, zdarzyło się. Listy twoje do Lawareda, potem te sterczące z pod kaptura włosy... Wszystko to naprowadziło Olsmajna na pewne ślady... Musisz dziś jeszcze zniknąć na zawsze z Sydneju.

— Dobrze, zginę... Ale jak przy tym szpiegu uprzedzę *tamtych?*

— Ja to załatwię za ciebie.

— Dziękuję panu, panie Dżems... Ale... — oczy chłopca napełniły się łzami, — będzie mi bardzo smutno bez pana.

— Mnie też, Silly. Ale spodziewam się, że nasze przejścia wkrótce się skończą.

— Mówi pan: wkrótce, — uśmiechając się przez łzy rzekł Silly. — A więc ma pan nadzieję...

— Tak, Silly.

— A wtedy nie rozstaniemy się już?..

Przez twarz Dżemsa przemknął wyraz męki.

— Zależy to od drugiej osoby, której obaj musimy podlegać, kochany chłopcze. Do widzenia, Silly. Nie trać nadziei. Pamiętaj, że dziś wieczór, ja już uprzedzę *tamtych*.

Chłopiec pożegnał się z Dżemsem i poszedł dalej. Robotnik, stojący obok, zaprzestał czytanie ogłoszenia i udał się wślad za Sillym. Zrównawszy się z Dżemsem, niepostrzeżenie kiwnął mu głową. Dżems odpowiedział tym samym.

— Daw, z brygady pod literą F! — mruknął Dżems. — Zupełnie nie umieją się grymować ci polismani.

I ruszył dalej. Doszedłszy do brzegu, zatrzymał się, zmęczony spojrzał na mętną wodę, założył ręce wtył, przeciągnął się i ziewnął. Ruch ten powtórzył kolejno trzy razy i udał się do Olsmajna. Dzień minął mu w zwykłych zajęciach policyjnych. Wreszcie nadszedł wieczór. Dżems Pack miał już opuścić urząd, ale jakoś nie śpieszył się, widocznie był bardzo zmęczony... Senny i powolny, miał już pożegnać sir Olsmajna, gdy wtem zaanonsowano przybycie Dawa.

Olsmajn uśmiechnął się, poprosił Dżemsa poczekać i polecił wprowadzić agenta. Po chwili Daw wszedł do pokoju.

— Co nowego? — spytał Olsmajn.

— Chłopiec zniknął — brzmiała odpowiedź.

Olsmajn zbladł. Znów zawiodła go nadzieja. Silly, który miał naprowadzić go na ślad podwodnego korsarza, znikł, a wraz z nim znikła nadzieja odnalezienia niebezpiecznego Korsarza. Wtem przypomniał sobie, że przyrzekł Lawaredowi udać się z nim do więzienia w Broken-Bej, aby upewnić Francuza, że Niari nie znajduje się w tem więzieniu. Prawda, zadanie było nietrudne, gdyż rozkaz przeprowadzenia Egipcjanina do sydnejskiego więzienia, był już wydany i prawdopodobnie dawno wypełniony, ale Olsmajn pragnął trochę samotności, aby obmyśleć nową sytuację. Jednak odwołać podróży tej Olsmajn nie mógł. Za mało bowiem miał szczerych przyjaciół; odmowa mogła zrazić dumnego Francuza, a przyjaźń jego była Olsmajnowi nader potrzebna.

Nazajutrz o godzinie ósmej rano Olsmajn wsiadł na konia i razem z Lawaredem udał się za miasto w kierunku fortu Broken-Bej. W pewnej odległości od nich jechała grupa policjantów na rowerach. Pod wpływem wesołych i miłych dowcipów paryżanina, zły humor naczelnika policji prysł i od czasu do czasu wyrywał mu się ulubiony jego okrzyk, znamionujący radość.

— Puff over!

Radość ta nie trwała jednak długo. Gdy podróżni minęli pagórek, usłyszeli dziwne jakieś okrzyki. Wydawało się, że kilka osób wzywa pomocy, inni zaś tej pomocy odmawiali.

Jeźdźcy przynaglili konie, rowerzyści przyśpieszyli bieg. Ominąwszy grupę drzew, spostrzegli dziwny obraz. Tłum chłopów stał obok dwunastu, przywiązanych do drzew, policjantów. Policjanci żałośnie prosili o zwolnienie ich z pęt, tłum jednak nie chciał tego uczynić. Wkrótce podróżni zrozumieli przyczynę postępowania tłumu. Nad głową bowiem jednego z nieszczęśliwych jeńców sterczała, przypięta sztyletem do drzewa, kartka papieru o treści następującej:

„Niech żadna ręka nie dotknie się tych, kogo w ten oto sposób ukarał Podwodny Korsarz. Dziś rano drogą tą przejedzie Naczelnik Policji. On jeden ma obowiązek zwolnienia swoich podwładnych. Niech przekona się raz jeszcze, że nie uda mu się zniweczyć planów Podwodnego Korsarza. Wam zaś, spokojni obywatele, przyrzekam pomoc, opiekę i przyjaźń, ale biada temu, kto złamie moje rozkazy“.

Na znak Olsmajna, rowerzyści przecięli pęta, wiążące ich

kolegów. Dowódca nieszczęśliwego oddziału stanął wyciągnięty przed naczelnikiem policji i, przyłożywszy dłoń do kasku, oczekiwał pytań.

— Co wy tu robicie? Skąd wyście się tu dostali? — drżącym od gniewu głosem spytał Olsmajn.

— Wracaliśmy z rozkazu pana naczelnika z fortu Broken-Bej.

— To ci kawał! — krzyknął Armand. — Akurat stamtąd, dokąd my jedziemy.

Olsmajn drgnął i zbladł.

— Chodźcie z nami do Broken-Bej — rzekł zmieszany. — Tam opowiecie resztę.

— Według rozkazu, panie naczelniku. Zresztą po drodze mógłbym opowiedzieć wszystko.

Armand gorąco poparł dowódcę.

— Oczywiście. Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, sir Olsmajn, chętnie wysłuchałbym wyjaśnień dowódcy. Chyba pan też jest ciekaw, jak to się stało?

Olsmajn niezdecydowany nie wiedział, co odpowiedzieć.

Agent przyjął milczenie naczelnika za zgodę i rozpoczął:

— Wczoraj naczelnik więzienia zawezwał mnie i powiedział: „Albercie, weźmiesz dziesięciu policjantów i odprowadzisz aresztanta do Sydneju“ — Dziesięciu policjantów — mówię, — a gdzie ja ich wezmę? — „Czekają przy bramie“. W takim razie — powiadam — sprawa jest bardzo łatwa, a kogo mamy eskortować? — „Numer dziewiętnasty“, — odpowiedział. — Znam go, to ten smagły Egipcjanin.

Armand zadrżał, ale nie zdążył wykrztusić ani słowa, gdy agent krzyknął z bólu i schwycił się za nogę.

— Rety, co się stało? — krzyknął.

Otóż Olsmajn, doprowadzony do wściekłości gadatliwością agenta, kopnął go silnie w nogę. Ale było już za późno.

— Czy ten Egipcjanin nazywał się Niari? — niecierpliwie spytał Lawared.

Pytanie to zupełnie zdetonowało dowódcę. Przed chwilą otrzymał dosyć stanowczą radę naczelnika, aby nie mówić za wiele, coś odpowiedzieć jednak należało. Bezsilnie spoglądał on to na Olsmajna, to na Lawareda, to znów na własną nogę.

— Tak... Nie... Nie wiem... Zresztą być może... — mamrotał.

Dziennikarz, niezadowolony z odpowiedzi, zamyślił się. Olsmajn zrozumiał, że wyjaśnienie sytuacji jest konieczne.

— Odpowiadaj pan bardziej zrozumiale! — zwrócił się on do policjanta.

Okrzyk ten ostatecznie zbił z tropu agenta. Nigdy zawód jego nie wydawał mu się tak trudny, jak w chwili obecnej. Ustne polecenie naczelnika nakazuje mu wszystko opowiedzieć, noga zaś zabrania. Należało więc mówić i jednocześnie milczeć.

— Tak... nie... ja nie zaprzeczam, — bełkotał bezradny.

Należało mu przyjść z pomocą i wskazać, co należy powiedzieć.

— Ja z tym gentelmanem — przerwał mu Olsmajn, — jedziemy do Broken-Bej, aby sprawdzić, czy znajduje się tam aresztant, któremu na imię jest Niari. Osobiście nic nie wiem o jego istnieniu, pan natomiast, zdaje mi się, zna go. Może więc pan opowie nam cośniecoś o nim.

Agent drgnął. Tym razem rozkaz był zupełnie jasny.

— Numer dziewiętnasty rzeczywiście nazywał się Niari. Jak już zaznaczyłem, otrzymałem rozkaz eskortowania go do Sydneju. Wyszliśmy około północy. Na drodze nikogo nie było. Wtem dwóch policjantów, idących na przodzie, potknęło się o przeciągnięty przez drogę sznur i przewróciło się. Nie zdążyliśmy się jeszcze zorjentować w sytuacji, gdy z za krzaków wyskoczyła banda jakichś zamaskowanych djabłów, rzuciła się na nas, rozbroiła i przywiązała do tych drzew. Dowódca ich zbliżył się do mnie i rzekł: „Powiedz *temu* Olsmajnowi, — proszę mi wybaczyć, panie naczelniku, — powiedz więc temu Olsmajnowi, żeśmy uwolnili Niari, a wkrótce uwolnimy i tych, kogo on przemocą trzyma w grobie i obok siebie.“ To wszystko.

Olsmajn zbladł, jak płótno; krew zastygła mu w żyłach. Przypomniał mu się tajemniczy sąd, a w związku z tem zrozumiał kogo ma na myśli Korsarz. Chodziło o żonę jego, Dżen i córkę jej — Maudlin.

Czy Korsarz ma taką władzę, że może wskrzesić martwą i uwolnić z pod jego władzy żywą!

Wydało się to nieprawdopodobne, jednak Olsmajn stracił wiarę w przyszłość... Wreszcie, po dłuższym namyśle, wydał rozkaz powrotu do Sydneju. Przez całą drogę nie wymówił on ani jednego słowa. Laward, zaintrygowany dziwną tą historją, zwracał się doń od czasu do czasu z pytaniami. Ciekawość jego nie została jednak zaspokojona. Naczelnik jechał zamyślony, pochłonięty jedną tylko myślą, która męczyła go. Korsarz wydawał mu się niezwyciężony, każdy spokojny obywatel — spiskowcem.

Gdyby mógł, chętnie wydałby polecenie zaaresztowania wszystkich mieszkańców Sydneju, jako wspólników Korsarza. Ten bowiem musiał mieć w mieście wielu wspólników, inaczej nie mógłby tak łatwo skryć się przed policją.

Przed domem Olsmajn pożegnał eskortę, roztargniony uścisnął dłoń Lawareda i, objęty dziwnym jakimś strachem, udał się do pokoju żony. Przed drzwiami zatrzymał się i jął się przysłuchiwać. Dziwne: zdawało mu się, że słyszy jakiś obcy głos w pokoju. Ktoś był w pokoju... Może poseł od Korsarza!

Naczelnik z impetem otworzył drzwi.

Dżen była sama. Stała, oparta o krągły stolik i przyciskała do warg jakąś kartkę. Z ust zrywały jej się dziwne jakieś, przerywane spazmami, słowa. Na widok męża odruchowo schowała kartkę, ale Olsmajn błyskawicznie rzucił się do młodej kobiety i z siłą ścisnął ją za rękę. Papier wypadł, Olsmaj gwałtownie podniósł go, rozłożył i jął czytać.

> „Mamo, — brzmiała kartka — rozdzieliło nas przestępstwo, jednak praworządność nie śpi. Znalazła ona mściciela, przy pomocy którego uda mi się wkrótce połączyć się z tobą. Ufaj temu, co ci pisze kochająca cię twa Maudlin, nader szczęśliwa, że może ci powiedzieć: żyję“.

Dziki szał ogarnął Olsmajnem. W szalonym gniewie podarł on kartkę na drobne kawałki, kopał je nogami, krzyczał coś niezrozumiałego, wreszcie zamarł, oglądając się wokół nabrzmiałemi krwią oczyma, jakby szukając jeszcze czegoś, na czemby mógł gniew swój wywrzeć. Wzrok jego padł na portret, przed którym często płakała jego żona, rzucił się doń, zerwał go ze ściany, złamał piękną jego ramę, podarł płótno, przedstawiające maleńką Maud na kawałki, z wściekłością cisnął je do ognia, a wycienczony tem wszystkiem, wybiegł, jak szalony z pokoju, trzasnąwszy mocno drzwiami za sobą.

Tymczasem Lawared wrócił do hotelu, rozmyślając o rannym przypadku. Ani nadzwyczajna grzeczność naczelnika policji, ani dobrotliwy ton jego nie oszukały dziennikarza, który poczuł dziwne jakieś uprzedzenie do Olsmajna. Niemożliwe było, aby, zajmujący tak poważne stanowisko urzędnik nic nie wiedział o istnieniu bardzo ważnego, politycznego więźnia, jakim był Niari. Stąd logiczny wniosek, że rozkaz przeprowadzenia Niari do Sydneju mógł wydać tylko Olsmajn.

Gdy Armand wszedł do pokoju, Lorsja siedziała przy pianinie i śpiewała, Oretta zaś rozbawiona stała obok niej.

Na widok Armanda dziewczęta zerwały się i pośpieszyły na jego spotkanie.

— Próżna fatyga? — zapytała Lorsja współczująco-ironicznym tonem.

Armand ze zdziwieniem spojrzał na piękną dziewczynę.

— Owszem, zgadza się! Ale skąd wiecie o tem?

Dziewczęta wesoło roześmiały się.

— Bardzo się cieszę, że moje niepowodzenie zamiast zmartwić wprawiło was w doskonały humor. Ale co się stało? Zachowajcie się przyzwoicie i podzielcie się ze mną waszą tajemnicą.

— Opowiemy panu wszystko, ale niech nam pan da słowo...

— Jakie słowo?

— Zachować w tajemnicy to, czego się pan tutaj dowie.

— Ale o co chodzi?

— Pierw przysięga — żądały rozbawione panie.

— A więc, dobrze. Daję słowo honoru, że będę milczał, jak ryba.

— Doskonale, — odpowiedziała Lorsja. — Teraz możemy pana wtajemniczyć.

I pokazała zdumionemu dziennikarzowi list.

Lawared wziął list do ręki i z zaciekawieniem przyglądał się adresowi.

— Charakter pisma Roberta! — krzyknął.

— Czytaj pan, — uśmiechając się rzekła Lorsja.

Armand pośpiesznie przejrzał list, który zawierał co następuje:

„Droga Lorsjo, za wcześnie ogarnęła mnie rozpacz. Nie znalazłem Niari, nie mogłem, więc stwierdzić mojej osobistości, a co za tem idzie nie mogłem zaofiarować Ci mojej ręki, a wraz z nim mego serca. Na szczęście znalazł się ktoś, kto się mną zaopiekował. Dzięki niemu Niari został zwolniony z więzienia i obecnie znajduje się w mojem towarzystwie. Oczywiście, moja droga, gwiazdo moja, słonko moje jasne, mógłbym być teraz obok Ciebie, jednak wdzięczność nie pozwala mi w chwili obecnej opuścić mego dobroczyńcy. On pomógł mi, teraz ja muszę dopomóc jemu w straszliwym jego obowiązku. Pozwala on mi ufać, że nasze nieszczęścia wkrótce się skończą. W ciągu dwóch

miesięcy nie otrzymasz ode mnie żadnej wiadomości, nie martw sią jednak. O ile spotkasz się z nazwiskiem Podwodnego Korsarza, wiedz, że jest to ten, który dba o nasze szczęście. Wiedz także, że całą duszą, sercem całem, wszystke moje myśli są z tobą. Mam nadzieję, że przy pomocy Armanda i kochanej mojej kuzynki Oretty, nie będziesz tęskniła. Posyłam Wam wszystkim trzem bezdenną mą miłość i nadzieję.

„Robert Lawared“

P. S. Nie mówcie nikomu ani słowa o tym liście“.

Armand zkolei roześmiał się.

— Nareszcie! Robert żyje i przyrzeka wrócić do nas. Przyznam się, moje drogie, że aczkolwiek miałem wiele przygód w mem życiu, nigdy nie przyjmowałem udziału w tak bardzo skomplikowanej intrydze.

Od tego dnia Lawared nie miał spokoju. Temperament dziennikarza nie mógł zgodzić się z istnieniem jakiejś tajemnicy, a tajemniczość okrążała go ze wszystkich stron. Spotykał on się często z Olsmajnem, który obdarzał go ostatnio nadzwyczajnem zaufaniem. Armand wiedział o telegramach, jakie otrzymywał potężny naczelnik z admiralicji. Telegramy te coraz bardziej surowo nakazywały mu zaaresztowanie w jakikolwiek sposób Podwodnego Korsarza. Ton telegramów bywał coraz groźniejszy.

Stanowisko Olsmajna narazie było jeszcze dosyć mocne. Z urzędu wiedział on o wielu tajemnicach, zdradzenie których mogłoby mieć straszne następstwa. Cały szereg poważanych rodzin byłby mocno skompromitowany, gdyby Olsmajn ogłosił treść dokumentów, znajdujących się w jego posiadaniu i dlatego bogate sfery miasta podtrzymywały go w walce jego z Korsarzem. Opinja publiczna wysuwała jednak pewne żądania w stosunku do rządu. Wszyscy Anglicy byli oburzeni niesłychanym wypadkiem, że jakiś nikomu nieznany wróg szerzy postrach śród społeczeństwa, a rząd najpotężniejszego państwa w świecie drży przed nim.

„Z chwilą, gdy wojna ta jest prowadzona tylko przeciwko sir Olsmajnowi, — głosiła stugębna wieść, — dlaczego rząd toleruje tego urzędnika? Dlaczego nie przeprowadza śledztwa, w myśl żądania tajemniczego Korsarza?“

Pewnej nocy, nieznani osobnicy, korzystając z ciemności, rozlepili na wszystkich ścianach miasta afisze następującej treści:

„Obywatele Sydneju!
Dziś zobaczymy się w porcie. Patrzcie na morze.
Zobaczycie oczy Korsarza, skierowane na nieszczęsne wasze miasto, w którem jeden z głównych dygnitarzy — jest podłym złoczyńcą".

Oczywista, że agenci policyjni gorliwie zrywali te ogłoszenia ze ścian, ale część mieszkańców zdążyła już zapoznać się z treścią afiszów i podzieliła się tą wiadomością z tymi, których lenistwo lub pilne zajęcie dnia tego zatrzymało w domu.

Dzięki temu o zachodzie słońca wszyscy prawie obywatele Sydneju znaleźli się na brzegu morza. Tłok był nie do opisania. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali przybycia Korsarza. W napięciu przyglądano się wojennym okrętom, stojącym w porcie w pełnem uzbrojeniu i gotowym na pierwszy znak ruszyć na wroga. Wielu myślało, że przygotowania te zatrzymają Korsarza. To też entuzjazm tłumu był nieopisany, gdy punktualnie o godzinio 10 na horyzoncie zjawiły się trzy świecące się punkty, tworząc trójkąt.

— Hip! Hip! Hura! — ryknął tłum.

Entuzjazm tłumu wzrósł, gdy na widok świecących się punkcików, odezwały się syreny okrętów i cała eskadra ruszyła naprzód. W oczach tłumu miała się odbyć bitwa morska. Eskadra angielska miała walczyć z groźnym Korsarzem. Wiele kobiet, matek, żon i narzeczonych marynarzy, wznosiło modły za życie ukochanych, idących na groźne niebezpieczeństwo.

Na pokładzie największego pancernika, *Destroyer*, idącego na czele eskadry, stała grupa ludzi, z różnemi uczuciami patrząca na nieruchome „oczy korsarza". Byli to Olsmajn, Pack, Lawared, Lorsja i Oretta. Pierwszy z nich znajdował się na okręcie z urzędu, pozostali dostali się dzięki jego protekcji. Obok towarzyszek Armanda stała starsza kobieta, otulona w szeroki płaszcz ze spuszczonym na twarz kapturem. Marynarze otaczali ją wielkim szacunkiem. Oficerowie szeptem mówili o niej.

— Jest to lady Olsmajn. Przybyła ona do nas, aby obecnością swą dodać odwagi mężowi w walce z Korsarzem.

Rzeczywiście to było przyczyną, którą podała nieszczęśliwa matka, aby dostać się na okręt. Olsmajn zgodził się, wiedząc, że czyn ten zrobi dobre wrażenie w towarzystwie. Nie wiedział on o tem, że przyczyną pobytu na pancerniku lady Olsmajn była kartka, podrzucona jej przez nieznanego przyjaciela o treści na-

stępującej: „Matko! Wkrótce będę z tobą, Udaj się dziś z człowiekiem, którego imię nosisz. Znajdziesz *Złotego arlekina*. Będzie to pierwsza wieść od tej, której śmierć opłakiwałaś."

Dżen była wzruszona.

Złoty arlekin! Ile wspomnień wywołało to w pamięci biednej kobiety! Było to w czasie ostatniego jej pobytu na fermie, w której mieszkała maleńka jej córeczka. Maudlin bawiła się złotym medaljonem matki. Medaljon ten miał kształt arlekina, wyrzeźbionego kunsztownie i był zawieszony na złotym łańcuszku. Dziecko całowało arlekina, nazywało go najpieszczotliwszemi imionami i nie chciało zwrócić go matce. Tknięta dziwnem przeczuciem, Dżen zawiesiła medaljon na szyjce dziecka. O tym talizmanie wspominała kartka, która była przyczyną pobytu lady Olsmajn na pokładzie okrętu.

Olsmajn patrzył na morze z wściekłością i dziwnym niepokojem.

Jedynie Dżems Pack był zupełnie spokojny. Rozmawiał on wesoło z oficerami, którą wysnuwali różne przypuszczenia co do dziwnych ogni, które się coraz bardziej zbliżały do eskadry.

Niektórzy twierdzili, że przyczyną pojawienia się bfyszczących punktów są zjawiska elektryczne; inni dowodzili, że mają do czynienia z objawem silnej fosforeescencji. I rzeczywiście, woda zdawała się być oświetlona od dołu. Piana na grzbietach bałwanów przypominała roztopione złoto. Widok był piękny i pociągał dziwną tajemnicą.

Do błyszczącego pasa zostało okolo jednej mili morskiej. Okręt mknął z nadzwyczajną szybkością. Niecierpliwość ogarnęła wszystkich obecnych. Na rozkaz kapitana szybkość okrętu ciągle powiększano. Za kwadrans tajemnica będzie wyjaśniona... Wtem błyszczące punkty poruszyły się. Z błyskawiczną szybkością ominęły one eskadrę i, zakreśliwszy łuk, stanęły między portem a okrętami.

Nastąpiła chwila wahania. Ale oto *Destroyer*, a za nim inne okręty, wykonały szybki zwrot i ruszyły w kierunku tajemicznego przeciwnika.

— Nieźle! — mruknął oficer, stojący obok Olsmajna. — Wątpię, czy dogonimy tego Korsarza, o ile on tylko nie zechce.

— Dlaczego pan tak myśli? — zapytał zaperzony Olsmajn.

— Dlatego, że widocznie może on rozwinąć o wiele większą szybkość, aniżeli nasz pancernik.

— A więc co pan o tem myśli?

— Mamy do czynienia z doskonałą łodzią podwodną nowej konstrukcji — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Tymczasem okręt zbliżał się coraz bardziej do nieznanego wroga. Wszystkich ogarnęło dziwne podniecenie. Wydawało się, że bitwa jest nieunikniona. Artylerzyści zajęli miejsca przy ciężkich działach, żołnierze ustawili się wzdłuż pokładu. Do tajemniczych świateł zostało zaledwie sto metrów. Wtem „oczy Korsarza“ zgasły.

Sternik nie mógł teraz odpowiednio kierować okrętem. Kapitan kazał zatrzymać maszynę.

Oficerowie wściekali się. Wrócić do portu, nie zobaczywszy wroga? Narazić się na drwiny tłumu? Ale nic innego nie pozostało. Komendanci okrętów wahali się jeszcze. Wtem morze zaszumiało, błysnął promień światła i dziwny jakiś przedmiot, zakreśliwszy w powietrzu półkole, upadł do nóg lady Olsmajn. Morze ucichło.

Wszyscy rzucili się do tajemniczego przedmiotu. Kapitan podniósł go i stwierdził, że jest to zwykłe drewniane jajko. Było ono zupełnie suche. Na jajku widniał skrawek białego papieru. Kapitan zbliżył się do latarni i głośno odczytał: „lady Olsmajn“. Dżen wystąpiła z tłumu i kapitan wręczył jej tajemniczą przesyłkę. Otworzywszy jajko, Dżen wyjęła zeń złoty przedmiot. Był to medaljon, o którym pisała jej córka w ostatnim liście. Łzy trysnęły z oczu biednej matki.

— Ostatni podarunek, który wręczyłam mej córce — rzekła.

Olsmajn zgrzytnął zębami.

— Bezczelny Korsarz kpi sobie z nieszczęścia matki! — wykrzyknął.

— Nieprawda! — wyrwało się lady Dżen.

Krótka ta scena wywołała ogólne poruszenie i dała powód do różnych domysłów. Gdy eskadra zawróciła do portu, na pokładzie panowała zupełna cisza. Oficerowie daremnie szukali rozwiązania zagadki, majtków zaś ogarnął zabobonny strach. Strach jednak był zbyteczny. Okręty wróciły do portu bez żadnych przeszkód. Na brzegu stały jeszcze tłumy, żywo omawiające przygody eskadry. Cały Sydney był zaintrygowany. Jedynie Dżems Pack pozostał zupełnie spokojny i ironicznie uśmiechał się.

Po wyjściu na brzeg pożegnał on Olsmajna, tłumacząc się zmęczeniem i powolnym krokiem ruszył wzdłuż brzegu. Ale, skoro tylko dostatecznie się oddalił, wyprostował się i przyspieszył

krok. Dokoła panowała ciemność, ale Pack poruszał się z pewnością człowieka dobrze obeznanego z terenem. Wtem zatrzymał się. Przed nim wyrosła sylwetka człowieka.

— Czy to pan? — zapytał Pack.

— Tak jest, kapitanie, według rozkazu.

— Natychmiast wyruszysz do pokładów złota w Sandy.

— Rozkaz.

— Ale natychmiast. Trzeba go będzie schwytać podczas podróży.

— Dobrze.

— Pamiętaj, że nie wolno tracić ani chwili. On nie powinien ciebie dogonić.

— Bądź pan spokojny.

Obaj ścisnęli sobie przyjaźnie dłonie i mieli już się rozstać, gdy Dżems zwrócił się do towarzysza.

— A ona?

— Ona jest tutaj. Strasznie chce się z panem zobaczyć.

— Nie, nie! to jest zbyt niebezpieczne. Zresztą, powinna się przyzwyczaić do rozłąki. Mam nadzieję, że wysiłki nasze wkrótce będą uwieńczone powodzeniem!.. Pack smutnie schylił głowę. Twarz jego zajaśniała wewnętrzną aureolą, jaka otacza twarz męczenników.

— Powiedz jej, że dotrzymam przysięgi. Niech czeka, wierzy i nie martwi się o mnie, narzędzie ślepego losu.

Zdawało się, że chce coś dodać, ale urwał i wyrzekł jedno tylko słowo:

— Żegnaj!

I odwróciwszy się, ruszył szybko w kierunku miasta. Wkrótce zniknął w ciemnościach. Nieznajomy pozostał, smutnie patrząc na oddalającego się.

— Idź, idź, dobra duszo! — mruknął. — Nie oczekujesz nagrody za pracę, ale ja nie zapomnę twych usług. Pracujesz dla mego szczęścia, a ja będę pracował dla twego szczęścia.

I skrył się w ciemnościach nocy.

* * *

Olsmajn wrócił do domu kompletnie rozbity fizycznie i moralnie.

Ciężkie sny dręczyły go przez całą noc. Nazajutrz wstał ze strasznym bólem głowy. Najmniejszy ruch sprawiał mu ból. Jednak naczelnik szybko ubrał się i wyszedł na ruchliwą ulicę.

Zdawało się, że boi on się spotkać kogokolwiek ze znajomych. I rzeczywiście, bał on się spotkać z Dżen, a nawet z Dżemsem, bał się, że zdołają oni z oczu jego odczytać ślady dawniej spełnionego przestępstwa.

Jednemu tylko Armandowi Olsmajn całkowicie dowierzał, — dlaczego, sam nie wiedział. Podczas nieszczęścia ludzie o podłych duszach stają się zabobonni, i Armand, który zjawił się przed Olsmajnem w chwili, kiedy ten wisiał na szubienicy, Armand, który oddał mu nieocenioną przysługę, psując negatywy ciekawych reporterów, wydawał się Olsmajnowi jakimś dobrym duchem, fetyszem, przynoszącym szczęście. Zdawało mu się, że dopóki Armand będzie przy nim, gwiazda jego nie zgaśnie i wkońcu odniesie on zwycięstwo nad wrogiem. Pod wpływem tych myśli, naczelnik policji udał się do hotelu Centeniol - Park. Wszedłszy do ogólnej sali, zawezwał Lawareda. Paryżanin, nieco zdziwiony tak wczesną wizytą, natychmiast wyszedł na spotkanie dostojnego gościa.

Olsmajn zwrócił się doń:

— Mam do pana poważną prośbę.

Armand milczał, ale twarz jego wyrażała wielkie zaciekawienie.

— Pan, zdaje się, jest podróżnikiem? — zapytał Olsmajn.

— Wprawdzie podróżowanie nie jest moim zawodem, ale ma ścisły związek z nim, — odpowiedział Armand.

— Czy nie przerazi pana perspektywa wyjazdu na miesiąc?

— Nie, ale...

— Czy zechce pan jutro rano wyruszyć ze mną do Nowej Zelandji?

Lawared zerwał się z krzesła.

— Do Nowej Zelandji?

— Przedewszystkiem, musi mi pan przyrzec, że dotrzyma pan tajemnicy.

— Chętnie dam słowo, ale...

— Przed chwilą dostał pan wiadomość, że kuzyn jego znajduje się w Nowej Zelandji, wobec czego pan wyjeżdża do niego. Ja towarzyszę panu. Otoż i wszystko.

— Dobrze. To będzie pretekst, ale jaki jest rzeczywisty powód naszej podroży?

— Wiem, gdzie znajduje się Podwodny Korsarz!

— Skąd? — zapytał zdumiony Lawared.

— Otrzymałem wczoraj telefoniczną wiadomość.

— Widok tajemniczego Korsarza sprawi mi wielką radość — odrzekł Lawared. — Nie mogę uchylić rąbka tajemnic, które nas zewsząd otaczają: to, rzeczywiście, jest zbyt przygnębiające dla mnie, jako dziennikarza.

— A więc zgadza się pan?

— W zupełności!

— W takim razie wstąpię do pana wieczorem. Uprzedź pan swoje towarzyszki.

To mówiąc, Olsmajn tak silnie ścisnął rękę Roberta, że ten krzyknął z bólu.

— Puff over! sir Lawared, — dodał Olsmajn. — Zobaczy pan, jak się ubawimy.

Po powrocie do biura, Olsmajn zawezwał do gabinetu Dżemsa, zawiadomił go, że na skutek prośby Lawareda jedzie z nim do Nowej Zelandji, przekazał mu kierownictwo urzędu na czas jego nieobecności, a specjalnie prosił o zaopiekowanie się lady Dżen.

— Stan jej wielce mnie niepokoi, — dodał obłudnie. — Obrzydliwe wybryki Korsarza wywarły silny wpływ na jej stan umysłowy. Niech pan będzie łaskaw otoczyć ją serdeczną i troskliwą opieką.

Dżems ukłonił się, przyrzekł zastosować się do wskazówek Olsmajna i wyszedł, pozostawiwszy swego zwierzchnika w przekonaniu, że podczas jego nieobecności wszystko zostanie w porządku. Wieczorem Olsmajn wyszedł z domu. Lawared, Oretta i Lorsja oczekiwali już w przedsionku hotelowym. Stamtąd wszyscy ruszyli do wojennego portu, i wsiedli na krążownik *Destroyer.* Około godziny drugiej w nocy krążownik podniósł kotwicę i ruszył w nieznaną dal Oceanu Spokojnego.

* * *

Kilka dni po tem zdarzeniu, przeciwko prądowi rzeki Szem, wpadającej do oceanu Indyjskiego na zachodnim brzegu Australji, płynęła lekka łódź.

U wioseł siedziało ośmiu ludzi. Smagłe twarze, pewne i rytmiczne ruchy ich muskularnych rąk wskazywały, że są to marynarze. Wszyscy byli jednakowo ubrani w szerokie bluzy i spodnie wsunięte do butów. Przy sterze siedział człowiek w płóciennym kasku. Człowiek ten zdawał się być naczelnikiem załogi.

— Czy daleko jeszcze, kapitanie? — z szacunkiem zwrócił się doń jeden z wioślarzy.

Człowiek w kasku podniósł głowę.

— Wkrótce dobijemy do brzegu, — rzekł. — Gdzie rzeka skręca na południe tam zatrzymamy się.

Aczkolwiek zdanie to zostało wypowiedziane po angielsku, ucho Anglika mogło odróżnić lekki francuski akcent.

Łódź szybko posuwała się wzdłuż lesistego, pustynnego brzegu. Dokoła panowała głęboka cisza. Od czasu do czasu przerywał ją przeraźliwy krzyk ptaka, albo szelest liści, potrąconych przez kangura, uciekającego wgłąb lasu. I znów cisza pełna smutku australijskiej pustyni, cisza zmącona tylko cichemi uderzeniam wioseł.

Ominąwszy niewielki przylądek, rzeka skręciła na południe Nad samym brzegiem wznosił się pagórek o trzech ostrych kamiennych wierzchołkach, których układ kształtem swym przypominał trójząb. Wtem z za krzaków zjawił się krajowiec malowniczo tatuowany. Krajowiec przyłożył ręce do ust i głośno krzyknął, chcąc zwrócić na się uwagę załogi.

— Pewnie przewodnik, — odezwał się starszy wioślarz.

— Zdaje się.

— Pan wysiada; czy mamy tutaj czekać?

— Tak. Tylko ukryć mi dobrze łodź!

— All right.

Jeszcze kilka uderzeń wioseł, i łódź wpłynęła do niewielkiej zatoki i przybiła do brzegu.

Krajowiec ukłonił się. Był on prawie nagi, wąska tylko opaska owijała jego biodra. Rozczochrane włosy były ozdobione zębami dzikich zwierząt, w rękach trzymał karabin. Rosła postać świadczyła o sile i zwinności.

— Mora-Mora wita Podwodnego Korsarza, — przemówił po angielsku gardłowym głosem krajowiec.

— Podwodny Korsarz wita Mora-Mora, — odrzekł człowiek w kasku.

Wszyscy wyskoczyli na brzeg. Wioślarze podnieśli lekką łódź na barki i zanieśli ją do gęstego lasu, znajdującego się wpobliżu.

Mora-Mora wyprowadził z lasu dwa konie.

— Już czas, kapitanie, — rzekł.

— Jestem gotów, — odrzekł kapitan.

Wydał on szeptem krótki rozkaz wioślarzom i wskoczył na siodło. Krajowiec poszedł za jego przykładem, obaj ruszyli ledwo

widoczną ścieżką, wiodącą do lasu. Po chwili zginęli w gęstej puszczy.

Na noc podróżni zatrzymali się w „hotelu" — dużym budynku z nieociosanych belek. Gospodarz przyjął ich bardzo gościnnie.

— Ehe! — rzekł, składając ręce na grubym brzuchu. Na pewno, gentelman jedzie do złotego pola Brimstońskich gór. Czy zgadłem?

— Zgadł pan, — sucho odrzekł kapitan.

— Bardzo mądrze. Złota jest tam aż nadto.

— Nie imponuje mi to. Muszę zobaczyć się z jednym z poszukiwaczy złota. Czy nie zna pan niejakiego Toma Sammy?

— Toma Sammy! Taki olbrzym? Stale milczy i chmurzy się? A jakże, znam go.

— Ten sam. Co to za człowiek?

— Dziwak jakiś. Wszyscy boją go się, z nikim się nie przyjaźni. Zbudował sobie chatę zdala od wszystkich na skale, między dwoma parowami, i mieszka tam niby w twierdzy. Pracuje samotnie, a wieczorami wchodzi na skałę i stoi tam całemi godzinami, patrząc na zachód. Czasami, powiadają, dyżuruje w ten sposób przez całą noc. Pewnego razu jeden z robotników postanowił podczas pełni księżyca wyśledzić, co tam właściwie robi na tej skale. Opowiada, że zaraz po północy Tom jął wymachiwać rękoma i przywoływać kogoś. Zresztą, nie krzywdzi nikogo, ale wszyscy mają go tutaj za warjata...

Podróżny nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w międzyczasie sługa murzyn przyniósł smaczną kolację. Po posiłku obaj goście udali się na spoczynek. Nazajutrz pożegnali się z grubym gospodarzem i ruszyli w dalszą podróż.

Dwa dni jechali oni po suchej i rozpalonej glebie. Rankiem trzeciego dnia ujrzeli wreszcie to, czego szukali.

W odległości kilkuset kroków od nich, niby czarodziejski zamek, wznosiła się olbrzymia skała bazaltowa, na samym wierzchołku której mieściła się chata. Na skraju skały stał człowiek olbrzymiego wzrostu z twarzą zwróconą ku zachodowi. Zdawał się być olbrzymim posągiem, zlewającym się w jedną masę ze skałą.

Wtem olbrzym poruszył się. Widocznie spostrzegł jeźdźców.

— Przygląda nam się, — cicho wyrzekł Mora Mora.

Przewodnik nie pomylił się. Olbrzym ze zdziwieniem przyglądał się podróżnym, którzy odważyli się zbliżyć do jego chaty. Gospodarz hotelu, który opisał podróżnym Toma Sammy, nie przejaskrawił tej postaci. Wielu poszukiwaczy złota drogo zapiaciło za nadmierną ciekawość. Olbrzym szybko nabił karabin i skierował broń w stronę natarczywych gości.

— Czy pan jest Tomem Sammy? — zapytał Korsarz.

— A kim jesteście wy? — zagrzmiał z góry ochrypły głos.

— Jestem tym, kogo oczekujesz.

Olbrzym opuścił broń, ale jednak pozostał czujny.

— Czem to udowodnisz?

— Rzeka Lachlan płynie jeszcze w swem łożysku, ale złoty arlekin już wypłynął z głębiny, aby osuszyć łzy! — odpowiedział jeździec.

Tom rzucił karabin, który z głuchym stukiem uderzył się o kamienie. Ręce jego gwałtownie wyciągnęły się naprzód, na twarzy odbiło się wzruszenie.

— Idę, idę! — krzyknął.

I pobiegłszy do skraju skały, szybko począł spuszczać po wąskiej i krętej ścieżce. Widocznie, doskonale znał drogę, bo w przeciwnym razie musiałby skręcić kark na śliskiej pochyłości. Po pięciu minutach był już na dole. Kapitan wyciągnął dłoń na przywitanie, ale olbrzym cofnął się.

— Za wcześnie, za wcześnie—rzekł. — Pierw muszę naprawić uczynione zło. Proszę do mnie, panie, — dodał pokornym, prawie błagającym głosem. — Chata moja już dawno jest gotowa na przyjęcie tak dostojnego gościa.

— A nasze konie? — zapytał kapitan, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Przewodnik pana odprowadzi je do R. Smitha, — tam, do tamtej chaty. Powiesz, — rzekł, zwracając się do Mora-Mora,— że są to konie Toma Sammy. To wystarczy, aby się niemi zaopiekowano. Później przyjdziesz do mnie. Jesteś sługą kapitana, a dom mój należy do niego.

— Mora-Mora przyjmuje twą gościnność, — majestatycznie odrzekł krajowiec. — Ale Mora Mora jest wodzem. Jest przyjacielem, a nie sługą kapitana.

— No, niech będzie przyjaciel, — odpowiedział Tom z odcieniem pogardy, tak zwyklej u Europejczyków w stosunkach z krajowcami.

— Zapraszam cię do chaty, jeśli zechcesz, przyjdź, a będziesz gościem.

Mora-Mora nie zauważył albo też nie chciał zauważyć drwiącego tonu gospodarza i, spokojnie ująwszy cugle, powiódł konie do wskazanej chaty.

Gospodarz został z kapitanem. Twarz olbrzyma wyrażała radość pomieszaną ze zdziwieniem.

— Dziwne, niby ten, a jednak nie ten, — wyrzekł ze zdumieniem.

Korsarz uśmiechnął się.

— Nie staraj się zrozumieć, zczasem wszystko zrozumiesz. Jestem tym, kogo oczekujesz, a jednak nie jestem tym, o kim myślisz. Bądź posłuszny i nie pytaj: zło będzie naprawione.

Olbrzym ukłonił się tak nisko, jakgdyby chciał paść na kolana.

— Czy raczy pan wstąpić w skromne moje progi? — zapytał pokornie.

Tom szeroko otworzył drzwi chaty, zapraszając Korsarza do wejścia. Kapitan ciekawie rozejrzał się. Umeblowanie było nader skromne, ale czysto wymyte ściany, starannie ubite klepisko, błyszcząca broń, czyste naczynia — wszystko świadczyło o tem, że Tom, rzeczywiście, był w każdej chwili gotów na przyjęcie gości.

— Pan jest pewno głodny, — przemówił olbrzym, przysuwając do stołu wielką ławę. — Wczoraj na polowaniu udało mi się zabić kazuara, kilka ptaków - lira i królika. Niech pan spocznie, a ja tymczasem przygotuję obiad. Będzie pan siedział akurat nad moją skrytką. Mam tam dwa worki złotego piasku. Proszę, niech je pan sobie weźmie, jeśli brak panu środków do walki z tym, który ledwo nie uczynił ze mnie mordercy.

To mówiąc, wyjął ze skrzyni dziczyznę, wyniósł ją nazewnątrz i począł obdzierać ją ze skóry. Przez otwarte drzwi chaty kapitan mógł widzieć jego ruchy i słyszeć krótkie uwagi, z któremi, zwyczajem samotnych ludzi zwracał się sam do siebie. Wkrótce wrócił Mora Mora. Nie mówiąc ani słowa, począł pomagać gospodarzowi. We dwoje szybko zakończyli pracę.

Zapadła noc. Wetknięta do butelki świeca ledwo oświetlała chatę. Na placu paliło się ognisko; nad ogniskiem, zawieszony na grubym drucie, smażył się kazuar. Tom i Mora-Mora krzątali się koło ognia. Kapitanowi znudziło się siedzenie; wyszedł na plac

i zamyślony patrzył w ciemność. Wtem, skała drgnęła pod jego nogami.

— Co to jest? — zapytał.

— Ziejące siarkę wulkany, — obojętnie odpowiedział Tom.

— Czasami to się z niemi zdarza. Ale to głupstwa. Na dole pojawia się wtedy dym, ale do nas nie dojdzie: jesteśmy za wysoko. W zeszłym roku, — dodał, — przyjechali tu jacyś uczeni. Coś tam gadali, ale tak mądrze, że nic nie zrozumiałem. Zdaje się twierdzili, że ta szczelina, to krater wulkanu, napełniony lawą i że kora tej lawy ciągle się kurczy. Według nich, ja mieszkam na pokrywce kotła parowego. Zresztą, może mylę się. Nie jestem przecież uczony. Aha, — przerwał, — oto zapaliły się siarczane źródła!

Korsarz spojrzał wdół i zdębiał. Na dole ze wszystkich szczelin wydostawał się zielono-czerwony płomień, oświetlający trupim blaskiem skały. Płomień ogarnął olbrzymią przestrzeń. Głuchy huk rozlegał się pod ziemią, a bazaltowa skała drżała, jakby od uderzeń bałwanów morskich. Obraz ten nasuwał wspomnienie dantejskiego piekła... Po posiłku wszyscy położyli się na posłaniach i wnet usnęli. Sen ich nie był jednak spokojny. Wszystkich prześladowały dziwne dręczące widziała. Zdawało im się, że posłania huśtają się niby hamaki na okręcie podczas burzy, że słyszą szum bitwy, artyleryjskie strzały, huk karabinów. Dokoła panował straszny upał, brak było powietrza do oddechu, ze śpiących pot lał się strumieniami. Podróżni obudzili się i z przerażeniem obejrzeli się dokoła. Chata napełniona była niebieskawą mgłą, która drapała w gardle, szczypała oczy i wywoływała wybuchy kaszlu.

— Co to? — zapytał kapitan.

— Wszystko te wulkany, — spokojnie odrzekł olbrzym. — Tym razem jakoś zbyt mocno kopcą. Zwykle para siarczana nie sięga wierzchołków.

Nie zdążył jednak skończyć. Straszny huk wstrząsnął powietrzem, skała drgnęła, jak drzewo pod uderzeniem potężnego wichru, we mgle błysnęły blade błyskawice. Wszyscy trzej skoczyli na równe nogi i wybiegli na plac. Obejrzawszy się dokoła, Australijczyk upadł na ziemię, przycisnął czoło do kamieni i wyjęknął w przerażeniu:

— To duchy ognia, które wydostały się na wolność.

Europejczycy milczeli.

Skała, na której się znajdowali, była oddzielona od innych bazaltowych warstwic wąskiemi szczelinami, które teraz napełnione były rozpaloną lawą.

— Wybuch! — szepnął Korsarz.

Nie mylił się. Długo wstrzymywane podziemne siły rozbiły wreszcie zamykającą je powłokę, i lawa, niby ogniste morze, rozlała się po całej dolinie; zaś nad tem morzem tu i owdzie unosiły się języki niebieskawo-szarych płomieni.

— Jesteśmy otoczeni przez ogień — wyrzekł Tom.

Przy tych słowach wszyscy trzej drgnęli i, nie mówiąc ani słowa, jeszcze pilniej poczęli przyglądać się okropnemu, a zarazem majestatycznemu widokowi, który roztaczał się przed nimi. Nie było już żadnych wątpliwości. Języki płomienia ze wszystkich stron lizały strome zbocza bazaltowej skały. Był to sen na jawie. Trzech ludzi znalazło się na bezludnej wyspie śród burzliwego morza, ale otaczała ich nie woda, lecz rozpalona lawa. Kapitan zwrócił się ku wschodowi. Wargi jego poruszały się zaledwie. Zdawało się, że posyła komuś ostatnie żegnaj...

Do późnej nocy trwały wybuchy, a nieszczęśliwi jeńcy ledwo nie udusili się gęstą parą, sięgającą aż do wierzchołka ich skalistej kryjówki. Tak minęła noc i następny dzień. Położenie jeńców stawało się coraz groźniejsze. Żywność została podzielona na mikroskopijne porcje. Minęły jeszcze dwa dni, żywności zabrakło zupełnie; zjedzono okruchy, wyssano nawet szpik z pozostałych kości, ale nie mogło to napełnić pustych żołądków. Nie pozostawało nic, żadnej nadziei!

A na dnie szczeliny ciągle bulgocze ognista lawa, woddali ciągle grzmi wulkan, a na przeciwległym brzegu wznosi się zielone drzewo, drażniąc jeńców swą niedostępnością.

Dwa razy, trzy razy wstawało i zachodziło słońce od czasu, kiedy nieszczęśliwi przełknęli ostatni kęs. Woda była również na wyczerpaniu. Mogą jeszcze poruszać się, ale nogi już słabną. Dziwny jakiś ciężar przytłacza ich. Chce im się położyć, nie poruszać się więcej. Jest to początek snu, a sen — to początek śmierci.

Mija jeszcze doba; wypito ostatni łyk wody.

Dziewięć dni trwa już więzienie. Znikła ostatnia nadzieja. Gorączka toczy wyczerpane organizmy. Pić, pić, — jedyne pragnienie nieszczęśliwych.

Tom Sammy, jako najsilniejszy, wstaje jeszcze czasem, zata-

czając się łazi i pilnie patrzy na horyzont, nie widzi jednak nic prócz otaczającej go ognistej pustyni. Dokoła nie widać ani człowieka, ani zwierzęcia, ani ptaka; zdaje się, że przekleństwo Boskie ciąży nad tem miejscem, nad tym padołem okropnej rozpaczy.

Poszukiwacz złota, opanowany rozpaczliwym smutkiem, znów zwraca się do swych współtowarzyszy, nachyla się nad nimi, stara się obudzić w nich choćby najmniejszy przebłysk woli.

— Trzeba coś robić — natarczywie powtarza. — Trzeba przecież znaleźć jakiś sposób wydostania się z przeklętego miejsca.

Uciec, wyrwać się z ognistego piekła, oto największe marzenie Toma. Nie chce umrzeć. Nie boi się śmierci, ale musi żyć, aby spełnić to, czemu się poświęcił.

Uporczywie szepce coś kapitanowi na ucho, ale ten nie porusza się. Tom nie zraża się tem i znów mówi i mówi... Maudlin, Pritchil, Olsmajn — imiona te ciągle zrywają mu się z ust.

Kapitan, znużony, nie chciał go słuchać.

— Odejdź, daj usnąć, zapomnieć o pragnieniu.

Głos jego ochrypł, ledwie brzmi.

— Słońce zachodzi... Trzeba wstawać, już czas...

Zostają jednak na gołej ziemi pod otwartem niebem.

Wtem Tom drgnął. Jakiś dźwięk, ledwo dosłyszalny, przykuł jego uwagę. Pilnie nadsłuchiwał.

— Konie, — szepnął.

Ale odgłos nie powtórzył się więcej.

— Nie, chyba majaczę... z głodu.

I znów opadł na rozpalone kamienie.

— A, zwierzę! — mruczał. — Sameś zginął i pociągasz za sobą tego, kto przeszkodził spełnieniu przestępstwa. Nawet niespełnione, a tylko zamierzone przestępstwo prześladuje człowieka do grobu.

Ciało Toma drgało w konwulsjach.

— Zimno! — bredził. — A tymczasem słońce pali mnie. Wiem, to w sercu mojem panuje mróz! Dziecię, dziecię, które oderwałem od matki! Och, muszę zwrócić cię matce. A... kto to... lord Green...

Nieszczęśliwy wyciągnął ręce i z przerażeniem patrzył w przestrzeń.

— Jestem zwierzęciem, milordzie, — mruczał. — Wódka, karty... puste kieszenie. Prześladowano mnie... A on przyrzekł mi złoto, wiele złota... Poszedłem na farmę i porwałem małą Maudlin.

Ale nie rzuciłem jej do morza, jak mi kazano... Nie... ona żyje... Ale matka jej nie wie o tem i wyszła zamąż za tego zbója... On zabił pana... Wiem... wybacz... Wybacz, milordzie... Uciekłem tu i kopałem złoto... O, nienawidzę tego złota... Ale kapitan kazał, więc, kopałem.... Chciałem naprawić zło... Powiedz... co mam robić?.. Ten ogień... pali... trzyma mnie... Milordzie, wybacz! Wybacz!

Atleta drżał, jak w febrze. Szalona rozpacz malowała się na jego twarzy. Wtem, drgnął...

— Czy to sen, marzenie? Znów konie...

Uważnie przysłuchiwał się i... zerwał się na nogi.

— Hurra! wstańcie, przyjaciele, nie omyliłem się. Tam daleko tętent koni! Zbawienie! — wyrwał mu się zwycięski okrzyk.

Ale towarzysze jego milczeli. Nic już nie rozumieli. Zataczając się, Tom udał się do chaty. Głowa go bolała, w skroniach pulsowało. Ale myśl o bliskim ratunku podtrzymywała go. Z nadludzkim wysiłkiem Tom dostał się do chaty, wziął karabin, naboje i wrócił przed chałupę. Karabin przytłaczał go swym ciężarem, wreszcie dobrnął do brzegu przepaści, usiadł na ziemi i odetchnął głęboko.

Odpocząwszy nieco, nabił karabin i strzelił. Po chwili znów strzelił; tymczasem ktoś odpowiedział. Ale odgłos strzału był bardzo słaby. Tom rozumiał, że pomoc jest jeszcze daleko. Przezwyciężając ogarniającą go, coraz większą słabość, Tom wytężał resztki sił i strzelał co pięć minut. Strzały nieznanych wybawicieli rozlegały się coraz bliżej.

Minęło kilka chwil, które wydawały mu się wiecznością, Ostatnie zmagania wyczerpały go docna. Wreszcie rozległy się ludzkie głosy i ukazały się sylwetki ludzi. Rozpaczliwym wysiłkiem Tom podniósł się z ziemi, wyciągnął drżące ręce i krzyknął nieludzkim głosem:

— Rąbcie drzewo i zróbcie most.

I upadł. Wyczerpanie złamało go. Zemdlał...

* * *

Korsarz, Mora-Mora i Tom obudzili się pod namiotem. Przez kwadratowy otwór widać było przepaść; zrąbane drzewo przerzucone przez nią tworzyło most.

— Jakto, więc przebrnęliśmy tę ognistą rzekę? — wyrwało im się.

— Tak, — odpowiedział jakiś nieznany głos.

Wszyscy trzej odruchowo drgnęli i obejrzeli się Pośrodku namiotu siedział po turecku nieznany osobnik w płóciennym kasku.

— Tak, — powtórzył. — Zrąbaliśmy drzewo i przedostaliśmy się po niem do was. Jeszcze godzina, a zginęlibyście z głodu. No, teraz czujecie się lepiej, więc zawołam dowódcę.

Nieznajomy wyszedł z namiotu i wkrótce wrócił w towarzystwie wysokiego jegomościa.

— Jego wysokość może się przekonać, że ci ludzie ocknęli się wreszcie.

Wysoki pan przyjrzał się wszystkim i podszedł do Toma.

— Nazywa się pan Tom Sammy? — zapytał.

— Tak, — odrzekł poszukiwacz złota.

Nieznajomy uśmiechnął się i wskazał na Australijczyka.

— A ten, to Mora-Mora, przewodnik?

— Tak, ale skąd pan wie?

Szyderczy uśmiech był odpowiedzią na pytanie.

— Nie chcieliście mi się przedstawić, więc sam daję sobie radę. A więc wnioskuję, że trzeci mój gość jest słynnym Podwodnym Korsarzem!

Chorzy poruszyli się niespokojnie.

— A więc nie mylę się,—uśmiechnął się nieznajomy i przyłożył do ust gwizdek. Rozlegl się przeraźliwy świst, i do namiotu wpadlo kilku osobników, którzy natychmiast otoczyli kapitana i jego przyjaciół.

— Słuchajcie, chłopcy! — przemówił nieznajomy. — Spędziliście kilka bezsennych nocy, byliście zawsze narażeni na drwiny, a nawet cierpieliście z powodu tego nikczemnika, który tak butnie nazwał się Podwodnym Korsarzem. Człowiek ten leży przed wami. Teraz macie go w waszej władzy!

Na znak dowódcy, żołnierze związali jeńców, którzy byli zbyt słabi, aby się bronić, a dowódca zwrócił się do kapitana, drwiąco ukłonił mu się i wycedził:

— Powinien mnie pan znać, panie Korsarzu. Nie wątpię w to, ponieważ prowadzi pan wojnę tylko przeciwko mojej skromnej osobie. Ale uważam za swój obowiązek zawsze pozostawać grzecznym. Mam zaszczyt przedstawić się panu.

Ukłoniwszy się jeszcze raz, zagrzmiał:

— Sir Tobi Olsmajn, naczelnik policji Oceanu Spokojnego.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Na nadchodzące święta **Bożego Narodzenia** najmilszym podarunkiem będzie świąteczny numer

„Mojego Przyjaciela"

KTÓRY UKAŻE SIĘ W POWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI i ZAWIERAĆ BĘDZIE CAŁY SZEREG ROZMAITYCH i CIEKAWYCH ARTYKUŁÓW.

Na całość numeru złożą się, m. inn., następujące artykuły:

Święto Bożego Narodzenia u nas i gdzieindziej.

Obyczaje świąteczne w Anglji, Niemczech, Szwecji, Norwegji, na Ukrainie i t. d.

Świąteczne opowiadanie.

Nowela na tle prawdziwego zdarzenia w dniu Bożego Narodzenia.

Zagadka Sfinksa.

Artykuł, w którym czytelnicy znajdą odpowiedź na pytanie „kto był bohaterem niezwykłej powieści?"

Wizyta w mennicy państwowej.

Narodziny pieniądza polskiego: od szlachetnego kruszcu do złotego dukata.

Gryzelda Cochran.

Opowiadanie, osnute na tle dziejów angielskich XVII wieku, o bohaterskiej dziewczynie, która ocaliła ojca z rąk kata.

Sporty zimowe.

Rozwój sportów zimowych w Polsce i horoskopy na sezon bieżący.

Ze srebrnego ekranu.

Najnowsze zdobycze techniki na usługach współczesnego filmu.

To i owo.

Ciekawe wiadomości z całego świata: elektryczny człowiek; miasto w kraterze wulkanu; największa książka na świecie i t.d.

Rozrywki umysłowe.

Bogaty kilkustronicowy dział rebusów, krzyżówek, szarad, zagadek z **KONKURSEM ROZWIĄZAŃ i CENNEMI PREMJAMI** dla czytelników.

Cena powiększonego świątecznego numeru, ozdobionego licznemi ilustracjami, pozostaje 60 groszy.

KUPON do Nr. 9

(wyciąć i załączyć do rozwiązania zadań)

Imię i nazwisko ____________________

____

Adres ____________________

____

Rok IV. Warszawa, grudzień 1927 Dodatek do Nr. 11-12

MÓJ PRZYJACIEL.
ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY.

WYCHODZI CO MIESIĄC

PROSPEKT

Do naszych Czytelników!

Z dniem 1-szym stycznia 1928 roku nasze pismo zaczyna piąty rok istnienia. Redakcja nie szczędziła wysilków, aby stworzyć nowy typ pisma dla młodzieży, — typ, nieznany jeszcze w Polsce.

Miesięcznik nasz postawił sobie za zadanie być wiernem odbiciem naszej epoki, pozostającej pod znakiem śmiałych i twórczych dążeń energji i woli ludzkiej. Nie chcieliśmy jedynie bawić czytelnika powieściami i nowelami, które, pobudzając wyobraźnię, nie zadowalniają jednak umysłu współczesnej młodzieży, dążącej ku wiedzy i realnemu życiu. Nasze opowiadania podróżnicze, artykuły o treści geograficznej, chociaż napisane w formie lekkiej i bardzo przystępnej, zawierały zawsze treść pouczającą, rozszerzającą zakres wiedzy czytelnika. Tym celom służyły również artykuły naukowe, traktujące zawsze o aktualnem zagadnieniu, zaprzątającem w danej chwili umysły wynalazców i twórców.

Nie było poważniejszego odkrycia, genjalnego wynalazku, sensacyjnej podróży, o którejby nasz czytelnik nie dowiedział się z łam naszego miesięcznika.

A ponieważ sport zajmuje tak poważne miejsce w życiu młodzieży, wprowadziliśmy obszerny dział sportowy w mniemaniu, że człowiek prawdziwie współczesny jest nie do pomyślenia bez pewnej ogłady sportowej, i że z szeregów sportowców rekrutują się liczni podróżnicy i badacze, a niekiedy i wybitni uczeni.

W dążeniu do stworzenia nowego typu miesięcznika, redakcja kierować się musiała innemi jeszcze względami. Chodziło nam o to, aby pismo nasze stało się prawdziwym przyjacielem młodzieży, aby dopomogło jej przyjemnie i z pożytkiem spędzić wolne od zajęć chwile. Nietylko „uczyć—bawiąc", lecz i „**bawić—ucząc**", to hasło przyświecało nam stale. Stąd powstały nasze działy rozrywek umysłowych, pod względem obfitości i rozmaitości materjału nie ustępujące specjalnym pismom rozrywkowym, stąd nasze różnorodne konkursy, pobudzające młodego czytelnika do samodzielnej pracy i szlachetnej rywalizacji. Dążymy do tego, aby pismo nasze, obejmując wszystkie zagadnienia, interesujące młodzież szkolną, mogło zastąpić czytelnikom różnorodne fachowe pisma, nie zawsze dostępne i zawsze prawie drogie.

Na tem miejscu z prawdziwem zadowoleniem stwierdzamy, że praca nasza nie poszła na marne, i że udało nam się nawiązać żywy kontakt z czytelnikami, dowodem czego może posłużyć aktywna współpraca w naszem piśmie szerokich rzesz młodzieży. Liczni czytelnicy zapełniali swemi pracami nietylko dział „Rozrywek Umysłowych", lecz nadsyłali również artykuły na aktualne tematy, które niejednokrotnie pojawiały się na łamach naszego pisma.

„Mój Przyjaciel" rozpoczyna piąty rok istnienia ze znacznie rozszerzonym i pogłębionym programem. Po uważnem przeczytaniu niniejszego prospektu czytelnik przekona się, że program nasz obejmuje zagadnienia, ciekawe nietylko dla młodzieży, dla której nasz miesięcznik jest specjalnie przeznaczony, lecz i dla dorosłych czytelników, interesujących się współczesną kulturą we wszystkich jej przejawach.

Za przykładem lat ubiegłych redakcja zwróci specjalną uwagę na stronę

ilustracyjną

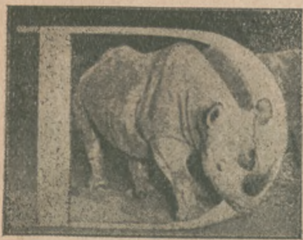
naszego pisma.

Rocznik „M. P." za rok ubiegły zawiera **paręset** najróżnorodniejszych ilustracyj. W naszem piśmie czytelnik znajduje aktualne zdjęcia, ilustrujące rozmaite wydarzenia bieżącej chwili, portrety znakomitych mężów stanu i t. d. O obfitości materjału ilustracyjnego naszego pisma świadczy najdobitniej prospekt niniejszy, ozdobiony częściowo kliszami z roku ubiegłego, częściowo zaś rysunkami, które wejdą do naszego pisma w roku przyszłym.

Korzystając z doświadczenia lat ubiegłych i idąc za głosem licznych wychowawców, nie szczędzących nam swych cennych rad i wskazówek, redakcja zachowuje jako stały dział

artykuł wstępny

w którym będą omawiane aktualne kwestje, związane bezpośrednio z życiem młodzieży i najbardziej ją interesujące, prace krytyczno-literackie o autorach bardziej popularnych, artykuły na rozmaite tematy, związane ze szkołą i wychowaniem w Polsce i na szerokim świecie i t. d.



DZIAŁ BELETRYSTYKI, zwłaszcza nowele o oryginalnej, fascynującej treści, zajmują poczesne miejsce w każdym numerze naszego pisma. Wybieramy dla naszego miesięcznika przeważnie nowele i opowiadania oparte na prawdziwych zdarzeniach, gdzie motywy dalekich egzotycznych podróży i sensacyjnych przygód łączą się z żywością opowiadania i prawdą życiową. Prenumerując nasze pismo na rok 1928, czytelnik tem samem nabywa bilet na przyjemną podróż, podczas której będzie błądził po niedostępnych dżunglach Indyj, polował na tygrysy i hippopotamy, wzbijał się w obłoki na aparatach nieznanej dotąd konstrukcji — a wszystko to bez znużenia i niebezpieczeństwa, siedząc spokojnie z numerem „Mojego Przyjaciela“ w ręku.







Kilka ilustracyj z działu beletrystyki

W cyklu wywiadów, prowadzonych przez nasze pismo, wypowiedzieli się na tematy, związane z życiem naszej młodzieży, wybitni pisarze polscy — prof. Ossendowski, J. Kaden-Bandrowski, Kornel Makuszyński i inni.



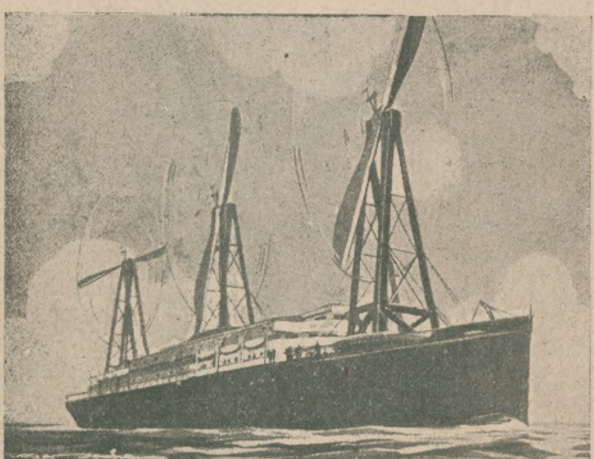
prof. Ossendowski.



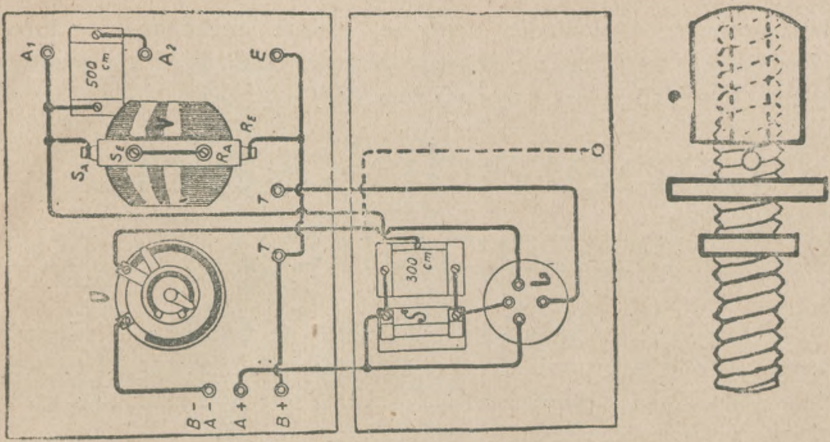
Kornel Makuszyński

Rozwój współczesnej techniki, postęp awiatyki, nowe teorje naukowe, wielkie zdarzenia historyczne, — znajdą właściwe dla siebie miejsce w obficie ilustrowanym dziale

popularno-naukowym.



Jedna z ilustracyj działu popularno-naukowego.
Współczesny „żaglowiec", poruszany kilkoma aeromotorami.



Wzory rysunków w dziale „Młody Technik"

A gdyby czytelnik „M. P." chciał się zagłębić w bardziej szczegółowych badaniach nad nowym wynalazkiem, lub zbudować jakiś nowy aparat własnej konstrukcji — znajdzie wiele pożytecznego materjału w dziale

młody technik

w którym zamieszczamy artykuły o samodzielnem konstruowaniu przyrządów sportowych, małych motorków elektrycznych, akumulatorów i t. d.—z licznemi rycinami i planami.

Szczególną uwagę redakcja poświęci również działowi

„Radjo"

Mamy nadzieję, że każdy czytelnik, korzystając z licznych artykułów w naszem piśmie, już zbudował sobie własnemi siłami radjoodbiornik, a w roku przyszłym będzie mógł, korzystając z naszych wskazówek, aparat swój polepszyć i udoskonalić.

—



Jedna z ilustracyj do działu „Radjo".

Nawet poważne zagadnienia naukowe można przedstawić w formie ciekawej i zabawnej, przyczem nie traci na tem ani naukowość ani gruntowność artykułu. Czytelnik przekona się o tem, czytając dział,

Nieparadoksalne paradoksy

gdzie na zwykłe pytania otrzymuje się najbardziej niespodziewane odpowiedzi, a i same pytania mogą też czasem zadziwić czytelnika. Dział ten, cieszący się wciąż rosnącą popularnością śród młodych czytelników, zostanie w przyszłym roku rozszerzony i pogłębiony.

Gdy czytelnik nie będzie miał czasu na zagłębienie się w roztrząsaniach naukowych, niech otworzy wtedy nasz dział

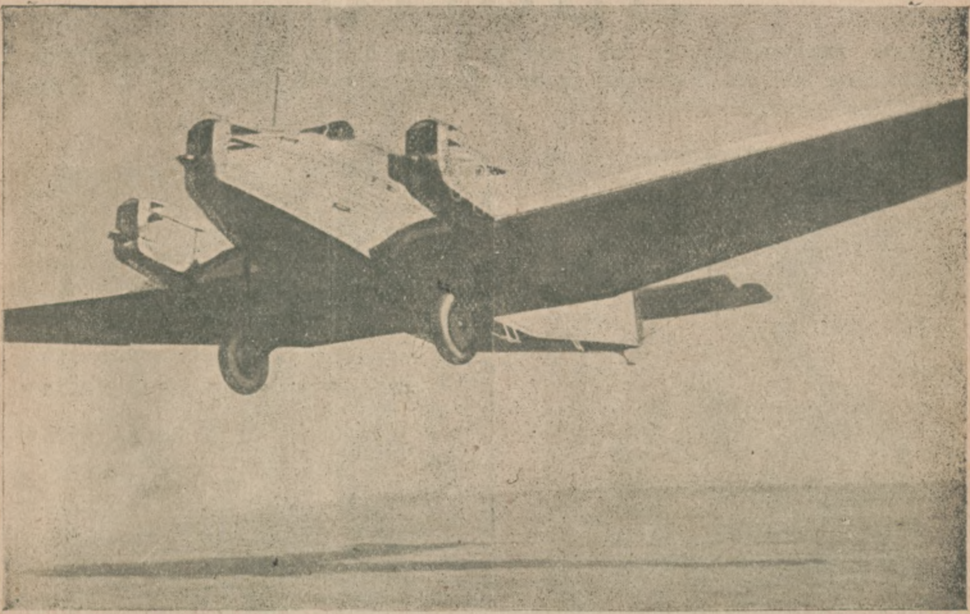
To i owo

gdzie w paru wierszach podajemy ciekawe wiadomości z całego świata, na nowem odkryciu naukowem poczynając, a na zabawnej przygodzie kończąc, a wszystko to bogato ilustrowane licznemi zdjęciami i fotografjami.



Jedna z ilustracyj do działu „To i Owo". Aeroplanem na partję golfa.

Kilka ilustracyj do działów: „Ze świata“ i „To i owo“.







1. Potęga współczesnej techniki Olbrzymi samolot zbudowany w Niemczech.

2. Aeromotory na wybrzeżu morskiem poruszane śmigami.

3. Japońska salamandra, najbliższy krewniak zwierząt przedpotopowych.

Powiedzieliśmy już wyżej, dlaczego, naszem zdaniem, należy specjalną uwagę zwrócić na dział

Sportu

i dlatego zapewniliśmy na rok przyszły w tym dziale współpracę wybitnych sportowców, których nazwiska są dostateczną rękojmią fachowości i, co zatem idzie, cenności artykułu.







1. Georges Cumming, champion świata w marszach na długie dystanse.
2. Amerykanin Tilden, „Napoleon tennisu". 3. Piękny start.

Nawięcej miejsca poświęcimy

Sportowi polskiemu

zamieszczając prócz artykułów naszych championów stałą miesięczną kronikę sportową, notującą wszystkie godne uwagi wydarzenia z dziedziny sportu krajowego.



S. Domański
najlepszy bramkarz Polski.



Alfred Freyer,
polski Nurmi.

Nie zapominajmy, że śród naszych czytelników, prócz sportowców, mamy też licznych amatorów

kina

których w roku zeszłym zaznajamialiśmy z pomysłowemi trickami kinowemi, a w roku przyszłym zapoznamy z nadzwyczajnemi karjerami gwiazd kinowych, uchylając rąbek tajemnicy, otaczającej życie zakulisowe teatru i wytwórni filmowych.

Kontunuując cykl artykułów o

teatrze amatorskim

będziemy nadal udzielali czytelnikom praktycznych i fachowych wskazówek co do urządzania przedstawień szkolnych lub domowych, ich strony technicznej, reżyserji i strony teatralno-literackiej.

Jedna z ilustracyj działu „Teatr i kino“.



Atelier kinowe podczas zdjęć. Scena wybuchu w filmie „Metropolis“

Licznych zwolenników i współpracowników naszego działu

Rozrywek umysłowych

ucieszy zapewne nowina, że dział ten zostaje w roku przyszłym jeszcze powiększony. Niechże te kilka stron najrozmaitszych logogryfów, krzyżówek, rebusów, szarad i łamigłówek nadal jednają sobie sympatje czytelników i ściągają coraz liczniejsze zastępy uczestników do naszych

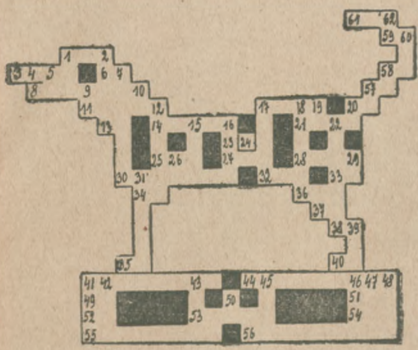
konkursów rozwiązań

ogłaszanych co miesiąc w każdym numerze naszego pisma i przynoszących najwytrwalszym i najdowcipniejszym z rywali prócz zasłużonej sławy także

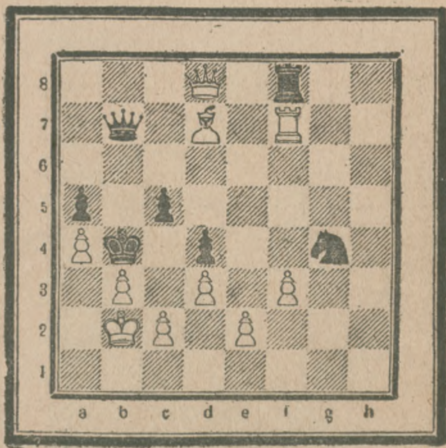
cenne premje

w postaci radjoaparatów, sportowych przyrządów i pięknie wydanych książek.

Kilka rysunków z działu „Rozrywki umysłowe“



Krzyżówka.



Zadanie szachowe.
Mat w dwóch posunięciach.



Rebus.
ułożył F. Grochocki.

A żeby i młodszy braciszek narówni ze starszym oczekiwał na przybycie swego „Przyjaciela“— udzieliliśmy parę stron i na

Kącik dla dzieci

przeznaczony dla naszych milusińskich i ozdobiony różnemi obrazkami.

Nie będziemy na tem miejscu wyliczali wszystkich działów stałych i półstałych, na które udzielaliśmy i udzielać będziemy miejsce na łamach naszego pisma. Nie zapomnimy ani o **„Kąciku Filatelistycznym“**, ni o **„Amatorze Fotografie“**, ni o **„Stroniczce humoru“**, ni o **„Kąciku szachisty“**, ni wreszcie o **„Dziale krajoznawczym“**, który prowadziliśmy podczas wakacyj letnich. Jak i przedtem w dziale **„Z pism i książek“** będziemy polecali czytelnikom książki ciekawe i godne czytania, a w **„Skrzynce pocztowej“** będziemy utrzymywali żywy i bezpośredni kontakt z czytelnikami, odpowiadając na wszystkie interesujące ich pytania.

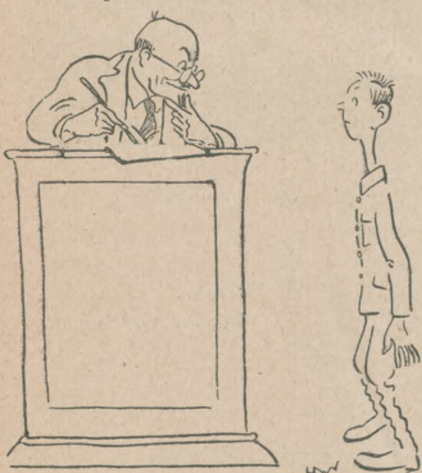
Ilustracje do działu „Dodatek krajoznawczy“.



Tatry „Orla Baszta" (2180 m.)



Pieniny. Wjazd od Szczawnicy z pięknym widokiem na Dunajec.







U góry: rys. z „Kącika Filatelisty".
U dołu: rys. z „Kącika dla dzieci".
Z lewej strony: rys. z działu „Humor".



Nie zapomnimy i o bohaterze, który w ciągu ubiegłego roku zdołał pozyskać sympatje licznych czytelników naszego odcinka powieściowego, którego nadchodzący Nowy rok zastaje w sytuacji najfatalniejszej, bo w rękach najbardziej okrutnego i podstępnego wroga. Czytelnicy domyślają się chyba, że mówimy o tajemniczym

„Podwodnym Korsarzu"

i o walce jego z naczelnikiem policji australskiej, sir Olsmajnem.

Uchylając rąbek tajemnicy, otaczającej nieuchwytnego „Korsarza", powiemy, że walka jego z Olsmajnem, pozornie skończona, w gruncie rzeczy dopiero teraz rozpoczęła się na dobre. Wymknąwszy się z rąk okrutnego wroga, Korsarz przeniósł swą działalność do głębin oceanu, tam gdzie nie sięgała władza dumnych lordów admiralicji angielskiej. Perypetje tej straszliwej walki na śmierć i życie, — walki, która doprowadziła do zagłady hardego naczelnika policji australskiej — wypełniają część drugą i ostatnią tej fascynującej powieści.

Po ukończeniu „Podwodnego Korsarza", rozpoczniemy w naszym odcinku powieściowym druk nowej powieści:

„Przygody młodego marynarza"

osnutej na tle przeżyć i przygód młodego marynarza polskiego, rzuconego przez kaprys losu do półdzikich stepów Ameryki Północnej. Przed czytelnikiem powieści rozwija się barwny kalejdoskop życia zaatlantyckiej rzeczypospolitej, olśniewający przepych miljonowych miast i nieskończone przestrzenie pustyni dzikiego „Far Westu", zaludnionej przez Indjan i nielicznych białych, półmyśliwych, półbandytów. Na tem egzotycznem tle autor rysuje wypukłą postać bohatera, — młodego chłopca z Mazowsza, — który obdarzony rzadką przytomnością umysłu i ufny w swoją przyszłość, pokonywa piętrzące się zewsząd przeszkody i pnie się ku zamożności i zaszczytnemu stanowisku w amerykańskiem społeczeństwie.

W prospekcie niniejszym naszkicowaliśmy plan nasz na rok przyszły w ogólnych zarysach, — plan nie wyczerpujący bynajmniej bogatego zakresu naszego pisma. Przystępujemy do pracy pełni ufności i wiary w powodzenie i nie wątpimy, że przy wydatnem poparciu czytelników uda się nam w niedalekiej przyszłości **zamienić miesięcznik „Mój Przyjaciel" na tygodnik**. Ciągle rozszerzając pismo nasze, ponosząc przytem wielkie materjalne ofiary, redakcja postanowiła jednak nie podnosić ceny pisma, aby było ono i nadal dostępne jak najszerszym rzeszom naszej młodzieży. Nie wątpimy, że czytelnicy przyjdą nam z pomocą i poprą nasze dążenia kupując, prenumerując i polecając wszędzie nasze i swoje pismo.

REDAKCJA.

Rocznik „Mojego Przyjaciela“ za r. 1927

ZAWIERA

Artykuł wstępny.

Nowela i feljeton.

Artykuł Popularno-Naukowy

Nieparadoksalne paradoksy.

Młody technik.

Radjo.

Awiatyka

Sport.

Teatr i kino.

Podróże i przygody.

To i owo. Ze świata.

Wywiady.

Art. okolicznościowe.

Kącik dla dzieci.

Spis ilustracyj i rycin.

Portrety.

Ze świata.

Technika.

Widoki.

Sport.

Fauna i flora.

Historyczne.

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela", którzy w ciągu miesiąca stycznia 1928 r. uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wydawnictwa „Pomoc Szkolna").

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel" na 1 kwartał, otrzymują z rabatem **50%**:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel"**
cena 75 gr

2) **Almanach „Mój Przyjaciel"** tom I-szy
cena 2 zł.

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel" na pół roku, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem **50%**.

3) **Duży kalendarz „Mój Przyjaciel"** na rok **1927-28**. Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 2.50; w ozdobnej oprawie zł. 3.

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel" na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3. z rabatem **50%**

4) **Almanach „Mój Przyjaciel", t. II-III (rocznik) na rok 1927.**
Cena księgarska zł. 6.

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel" korzystają przy kupnie książek wydawnictwa „Pomoc Szkolna" z rabatu **10%**.

Szczegółowy katalog wydawnictwa „Pomoc Szkolna" wysyła się na żądanie bezpłatnie.

ADMINISTRACJA.

Prenumerujcie i rozpowszechniajcie

wśród kolegów i znajomych pismo „Mój Przyjaciel"

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL"
Prenumerata roczna — 6 zł. 60 gr., półroczna — 3.30, — kwartalna 1.65.
Cena ogłoszeń: Za tekstem cała str.—100 zł., ½ str.—55 zł., ¼ str.—30 zł. ⅛—20 zł.; na okładce cała str.—140 zł., ½ str.—75 zł., ¼—40zł., ⅛—25 zł.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Druk „GRAFJA" Warszawa.